

31/640a
HENRYK RZEWUSKI

LISTOPAD

Romans historyczny z czasów St. Augusta.

Opracował Jan Grabowski



Zakłady Graficzne Wiktora Kulerskiego (Gazeta Grudziądzka)
Grudziądz 1925.

PT 4c

LISTOPAD

Roman's history of the Czechoslovak Republic

K 19 3916
0768490 I

K-91/6400

18.2

14.000,-



L

Wojciech Strawiński, dziedziczny sługa i przyjaciel magnackiego Radziwiłłowskiego domu, prawnik gospodarz zawołany, po ojcu innej spuścizny nie dostał oprócz łaski nieświeskiego dworu. Ale to spuścizna była nielada, bo co do majątku ojczystego, tak był odłużonym, że pan Wojciech od niego się odprzysiągł, zostawując go nieboszczykowskiem wierzycielom. Sam do palestry wstąpiwszy, adwokatem został i przy wsparciu Radziwiłłowskiem przyszedł do majątku, ile że był rachunkowym człowiekiem, bo oprócz wina, na które nie żałował, żeby mieć czem gości przyjąć, i jałmużny kwestarzom, żeby ich modlitwy go nie opuszczały, innych wydatków tak dobrze jak nie znał. A ziemia rodziła, a panowie się kłócili. Więc lubo pełna nie miał lat czterdziestu, tak pięknego grosza się derobił, że kupił znaczne dobra w Słonimskim. A chociaż czwarty krzyżyk uzupełniał się na jego metryce, zakochał się w panience dziwnej piękności, nawet z takim posażkiem, a krewnej domu Mssalskich, niezycziwego Radziwiłłom.

Tak tedy pan Wojciech stanął u portu. Po weselu zawiózł młodą i piękną żoneczkę do wsi swojej, gdzie już w istocie niczem się nie zajmował, tylko zbieraniem

milego grosiwa. A lubo wychowanie pani Strawińskiej było innego trybu, niżeli jej męża, jednak przez lat kilka pożycie tego stadła było szczęśliwe, ile że je Bóg pobłogosławił dwoma synami. Starszemu dano imię Ludwik, młodszemu Michał, imiona, które obaj przynieśli sobie. Ale po upływie tych lat kilku pan Wojciech, obrany deputatem słonimskim na trybunał litewski, zjechał z żoną i dziećmi do Wilna na jednoroczne mieszkanie.

W tym właśnie czasie hrabia Mycielski, kasztelan poznański, zjechał do Wilna na sprawę bardzo ważną z księciem hetmanem Radziwiłłem, która to sprawa później zgodnym sposobem się skończyła. Hrabia Mycielski był kawalerem wielkiego świata, nosił się po francusku, po polsku mówił łamanym językiem, tańczył menueta z wielką zgrabnością, nazywając polski taniec procesją, a mazur karczemną biesiadą. Poznawszy się hrabia z deputatostwem u księcia biskupa, zaczął bywać w ich domu, otwartym dla wszystkich. Dobroduszny gospodarz myślał, że on u niego bywa jedynie z powodu sprawy, a jemu nie tyle ona była w głowie, ile nadobna gospodyni, z którą był rad najczęściej się spotykać, by sobie drogę do jej serca torować.

Bezwątpienia pani deputatowa nie odrazu zboczyła z gościńca wiary i poczeiwości szlacheckiej, ale była ciągle narażona na natarczywości gacha gładkiego, zakochanego i wyćwiczzonego w nauce bałamuetwa kobiet. Nie trudno było oszukać męża, zajętego pracowitem urzędowaniem, a zaślepionego w przywiązaniu i ufności dla żony. Aż dnia jednego, pani deputowa zabrawszy swojego ulubionego Ludwisia, przeniosła się do domu

dawnej przyjaciółki, a stamtąd napisała do męża, że z nim mieszkać nie może, że jemu samemu wiadomo, iż bez istotnej skłonności, a jedynie z musu, za niego poszła, zatem żeby się zgodził z wolą Pana Boga i więcej o niej nie myślał. A hrabia, coraz mocniej zakochany i obowiązany poświęceniem kochanki, popierać zaczął sprawę rozwodową, rzecz za królów Sasów prawie bez przykładu, a którą panowanie Poniatowskiego rozpowszechniło w narodzie.

Opierał się jak mógł i umiał pocziwy deputat, wzywał na pomoc wszystkie prawa Boskie i ludzkie, by mu żonę i syna oddano. Nakazano panu Strawińskiemu wrócić żonie posag. Przysądżono matce opiekę nad synem Ludwikiem, młodszego Michała ojcu zastawując. A w kilka dni po ogłoszeniu dekretu rozwodowego, mając gotowy indult, pani Strawińska została hrabiną Mycielską, i ulubionego synka z sobą zabrawszy, wyjechała z mężem do Wielkiej Polski.

Pan Strawiński, skrzywdzony, skończywszy urzędowanie, wrócił na wieś.

W nieszczęściu swoim nie pozostał bez pociechy. Miał doświadczonego przyjaciela w generale Kunickim, możnym właścicielu województwa Mińskiego, kilku laty od niego starszym, któremu we wszystkim wierzył; powtórę zajmował się zbieraniem pieniędzy, ostatnia namiętność człowieka; a największą dla siebie znajdował pociechę w coraz ściślejsem spełnianiu obrządków religijnych. Syna miłował i ciągle powtarzał, że tylko dla niego pracuje i tak ślęczy nad gospodarką, a w rzeczy samej więcej się zajmował swoim gumnem niż jego osobą. Ale gdy już ósmy rok skończył się Michasiowi, wziął go na egzamin, a przekonawszy się, że

tyle umie, co i jego dyrektor, tego w nagrodę postąpił na pisarka browarnego i zaczął nieco myśleć o dalszem wychowaniu syna. Że właśnie wyprawiał do Warszawy swojego rachmistrza z gorzałką, słoniną i masłem, powierzył mu i Michasia z zleceniem, by go ulokował w Collegium Nobilium jezuickiem, i zapłacił za niego co zażąda ksiądz rektor. To zdarzenie zbliżyło do siebie braci od lat kilka rozłączonych, bo obaj znaleźli siebie w konwikcie.

Od roku już w nim mieszkał Ludwiś, oddany tam przez ojczyznę, który doczekawszy się własnych dzieł, uważał pobyt jego w domu być mniej potrzebnym dla matki. Tak bracia odnowili znajomość, a idąc za przyrodzonym krwi popędem, najściślej się zawiązali przyjaźnią, ćwicząc się razem w naukach z najświetniejszą młodzieżą narodu. Była to rzecz pocieszna, widok dwóch braci, nawet nieco podobnych do siebie, w zupełnie odmiennej odzieży. Ludwiś upudrowany, w trzewikach, w sukni francuskiej, w niemieckich pluderkach, wraz z kilku paniczami pierwszego tonu, a Michaś, z masą uczniów, w kontusiku, w żółtych butach, z czupryną wysoko podgoloną. Ale ta różnica w powierzchowności nie stawała na zawadzie miłości braterskiej. Owszem, Michaś szczególnie się przywiązał do starszego brata i nieraz w zatargach szkolnych ratował go od natarczywości kontusikowych kolegów, niebardzo przychylnych fraczkowemu paniczowi.

I tak żyli z sobą bracia rok jeden i drugi, póki ich ojciec nie zawitał do Warszawy. Z czułością uściskał dzieci, dając im wspólne błogosławieństwo; zdawał się nawet być więcej zajęty starszym, gdyż dla niego zdobył się na wspaniałomyślność niezwyczajną i dał

mu dwa talary bite, a Michasiowi tylko jednego. Ale w pieszczołach swoich, tarmosząc Ludwisiowi fryzurę, spostrzegł na nieszczęście, że oba uszy były ozdobione koleczykami. Na ten widok strażnik się tak oburzył, że, odskoczywszy od syna jak oparzony, wymówił księdzu rektorowi, że takiego bezprawia dopuszcza obywatelskim synom i, nie słuchając usprawiedliwienia, natychmiast odebrał Michasia z konwiku, obojętnie patrząc na szłochy chłopca przy rozstaniu się z bratem. Wywiózł go tedy z Warszawy do domu, a stamtąd odwiózł do konwiku nieświeskiego, zalecając, by go uczono tylko łaciny, nie wdając się w żadne niemiecczyzny warszawskie.

Michał po sześcioletnich mozołach konwiku nieświeskiego, do którego wstępując miał już dobre początki, wszystkiego się nauczył, czego się tam nauczyć można było. Umiał po łacinie jak Jezuita, po polsku i po łacinie pisał znakomicie, a nadewszystko umiał z ludźmi obcować. Wszystkie odcienie grzeczności były mu tak wiadome, że inaczej mówił do urzędnika, inaczej do szlachcica niezaszczyconego urzędem. Jeszcze w mowie, te wszystkie odcienie nie były tyle widoczne, chociaż prawdziwy znawca odrazu umiał je ocenić, ale w listach całkowita jego mądrość w tym względzie się okazywała. Strażnik stary Strawiński bowiem został tymczasem strażnikiem słonimskim, urząd wojskowy na owe czasy znaczny i poważny, nazajutrz pojechał z synem do Słonima, i zajechawszy do swojego dworku, tyle tylko w nim zabawił, ile mu potrzeba było czasu do zrzućcia kapoty podróżnej, a przyodziania porządnego kontusza, nieubogiego żupana i opasania siebie złotolitym pasem, nie zapomniawszy szabli. Te prze-

mianę odbył i pan Michał. Oba pokolenia, ugalowane, że aż miło było na nie spoglądać, puściły się piechotą do dworku pana regenta ziemskiego Wojszwily.

Gospodarz kazał podać wina, a pan strażnik rozpoczął przemowę:

— Ja zrobiłem z WPana prawnika, zrób nim moje go chłopca, a będzie między nami kwita. Jak dobry ojciec miej baczność, żeby pracował, a gdyby paniczowi jakie fafry przyszły do głowy, to chociaż drymbłas, od czegoż kobierzec i plecionka boćkowska? Przypomnij-no sobie kochany regencie, że jak nieboszczka koniuszyna WPana do mnie przywiozła, to z początku parę razy okuńkiem mi stanąłeś. Ale jakem ci porządną łaźnię sprawił, w gołąbka się przemieniłeś. Teraz, żeś na człowieka całą gębą wyszedł, odwdzięcz się na moim synu.

Jak będę uważał, że waść się dobrze sprawujesz, będę mógł coś waści wyświadczyć, powiedział do syna, jednak nie spuszczaaj się na to i staraj się, żyjąc z własnej pracy, nikomu nie być ciężarem.

Tę naukę dobrze przyjął strażnikowicz, bo wychowaniem swoim był do niej przygotowany. A strażnik, takim sposobem ulokowawszy syna, odjechał go z powierzchnością zimną, jednak z sercem nieco rozczulonem.

Michał z taką pilnością wziął się do pracy, że po kilku miesiącach już był, jak to mówią, prawą ręką regenta i wkrótce stanął na pierwszym szczeblu palestry słonimskiej. Najzamożniejszych obywateli interesa zwały się na niego, tak, że i sława go wieńczyła, i pieniądze pocziwie zarobione do niego płynęły.

Ludwik inną poszedł koleją. Po odjeździe Michała z konwikt^u warszawskiego, więcej roku w nim nie po-

został. Hrabia Mycielski, mając stosunki pokrewieństwa z królem Stanisławem Leszczyńskim, zawiózł go do Lotaryngji i tam umieścił w szkole rycerskiej, świeżo przez tego króla założonej w Lunewillu. Tam przyjął wychowanie staranne, a z niem ten polor, który dworzan francuskich od wszystkich innych odznaczał. Wyszedłszy z korpusu, król wyrobił mu stopień kapitana w jednym pulku zagranicznym na żołdzie Franeji, a przeznaczonym na wojnę przeciwko Prusakom. Ludwik, młody, zgrabny, waleczny, nadzwyczajnej urody, łatwo pozyskał szacunek i zaufanie swoich wodzów. W bitwie pod Minden, pod okiem naczelnego wodza, kula na wylot twarz mu przestrzeliła. Blizna z rany pozostała, nie tylko że go nie oszpecila, ale nawet go robiła powabniejszym, wdzięk rycerski mieszcząc na jego obliczu.

Dostawszy się na dwór królewski, stał się jednym z ulubieńców króla i dworaków. Kochał się, pojedynkował, tańczył jak nikt, a serca sobie jednał. Zaprzyjaźnił się z dwoma panami polskimi, między sobą braćmi ciotecznymi, a podróżującymi razem za granicą. Jeden z nich był książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, drugi Stanisław Poniatowski, stolnik wielki litewski. Nawet temu ostatniemu zrobił wielką przysługę, gdyż nie mającemu o czem do Polski powracać, pożyczył na słowo 1.000 luidorów, nie domyślając się zapewne, na jak wielką lichwę je umieścił. Wkrótce potem doszła do niego wieść, że stolnik Poniatowski, silny wsparciem potężnem, otwarcie idzie do dopiero zawakowanej korony polskiej. Ludwik, niewiele myśląc, sprzedawszy swoje meble, ekwipaże i srebra, a tem jako człowiek nieposzlakowanego honoru opłaciwszy

swoje długi, opuścił Paryż, by szczęścia próbować w tej Polsce, skąd go dzieckiem wywieziono.

Przybywszy do Warszawy, trafił Ludwik na sam dzień ogłoszenia królem Stanisława Poniatowskiego, i był jednym z pierwszych, co swojemu panu złożyli hołd poddaństwa. Król go przyjął jako dawnego przyjaciela, i chcąc go nazawsze przywiązać do siebie, w kilka dni po jego przybyciu dał mu wakujące starostwo Wieluńskie.

Tak na wstępie do ojczyzny przywitały go i urząd i kilkadziesiąt tysięcy intraty. Nie więc dziwnego, że szczerze przywiązał się do strony, do której samem wychowaniem nie mógł nie czuć pociagu, a cóż dopiero, kiedy ona go jeszcze obsypywała łaskami, — nie też dziwnego, że kiedy strażnik z Michałem, pod znamionami księcia Karola Radziwiłła, walczyli przeciw Stanisławowi, Ludwik, głowa gabinetu królewskiego, i rada i piórem popierał partję, będącą u całej jego rodziny w nienawiści.

II.

Michał, sprzykrzywszy sobie adwokaturę, osiadł przy ojcu, gdzie, podpora jego starości, zajął się i domem i całkowitem gospodarstwem. Ciernie gospodarstwa zachował dla siebie, a róże ofiarował ojcu — stary dziwił się, że nigdy majątek tyle mu nie przynosił, wyłanianie syna i przyjaźń generała Kunickiego były mu najdroższymi skarbami.

Generał Kunicki zaś sprowadził pozostałą córkę, która od śmierci matki wychowywała się w Wilnie przy ciotce, by mieć z niej pociechę i pomoc. Zosia była dziewczyną nadzwyczajnej piękności i najlepszego serca.

Michał szczerze się przywiązał do Zosi, a ona, chociaż nie doświadczała tego gwałtownego i burzliwego uczucia, które nazywają miłością, oddawać umiała sprawiedliwość cnotom młodziana, szanowała go i przeczuwała nawet, że z nikim nie może być równie szczęśliwą.

Generał, w domu swoim ugaszczając przyjaciela i jego syna, po rozmowie ze strażnikiem, w czasie której Michał z Zosią przechadzali się po sadzie, posłał po nich.

— Panie Michale — powiedział, gdy przyszli — niema gadania, pan strażnik prosił mnie o rękę Zosi dla WPana. Ja na to zezwalam, macie przyjaźń wzajemną, nie pozostaje wam, jak ją sobie zaprzysiąc dożywotnie. Zosiu, oto jest twój przyszły mąż.

Michał nie powiedział, ale padł do nóg generałowi.

— Cóż to, Zosiu, o ciebie chodzi, a ty milczysz? — rzekł generał, otarłszy kilka łez chustką.

Zosia uklękła przed ojcem, i drżącym głosem odezwała się:

— Miły ojcze, niech się stanie wola twoja. Ale jakże mi żal opuszczać dom rodzicielski tak prędko po mojem przybyciu do niego! Niechże nasz ślub przed półtora rokiem nie następuje, żebym się mogła jeszcze ojcem nacieszyć.

I zaczęła rzewnie płakać, a piękne swoje oczy obracając do Michała, tak go zachwyciła, że zaraz całkowite

znaczenie jej spojrzenia zrozumiał, i powtórnie ukląkłszy przed generałem, rzekł:

— Dziś jeszcze chciałbym zostać małżonkiem generałówny, chociażbym miał nazajutrz umrzeć. Ale niech w dniu tym, tak dla mnie uroczystym, prośba moja otrze łązy generałówny! Ponieważ jej wola jest, by moje szczęście do półtora roku było odłożone, niechże jeszcze przez ten czas zasługuję na jej wzajemność.

— Kiedyście się wszyscy na mnie usadzili, niechże będzie jak sobie chce — powiedział generał. Dziewczyna nas wszystkich w pole wyprowadziła.

A po tej rozmowie państwo młodzi zamienili z sobą pierścionki i zaręczyny się odbyły.

Po zaręczynach, pierwsza czynność generała i strażnika była donieść wszystkim krewnym i przyjaciółom o postanowieniu ich dzieci. Nie omieszkali zakomunikować wiadomość o ich szczęściu dostojnemu ich domów protektorowi, księciu Karolowi Radziwiłłowi, znajdującemu się natenczas w Warszawie, gdzie sejmowi przewodniczył.

Ksiązę odpisał, oświadczając radość swoją z połączenia dwóch domów, zawsze jemu życzliwych. A będąc ich statecznym przyjacielem, ośmiela się państwu młodym posłać pamiątkę swoich dobrych dla nich życzeń, upraszając rodziców, by im to raczyli wręczyć w dniu jego imienin.

Dla Zosi były kolczyki brylantowe niemalej wartości, a dla Michała przywilej królewski na świeżo zawakowany urząd wojskiego Słonimskiego.

Podczas gdy starzy wyprawiali do Warszawy umyślnego z listem do księcia wojewody, Michał przez niego pisał do brata.

✓ Pan starosta Wieluński odpisał, że nie mogąc przybyć do rodzicielskich progów, posyła mu przynajmniej swój portret, upraszając, by go raczył uprzejmie przyjąć na pamiątkę swojego przywiązania.

Do tego listu przyłączył jeszcze drugi dla Zosi, w języku francuskim, prosząc o jej przyjaźń dla siebie i o łaskawe przyjęcie małego upominku, który ośmiela się jej przesłać, jako dowód pamięci i miłości braterskiej.

Dary księcia i pana starosty zostały wręczone Zosi. Bisiory starosty były tak bogate, tak gustowne, że na usilne nalegania obywaterek tam obecnych, Zosia musiała się w nie ustroić i, tak ozdobiona, resztę dnia ich bawić.

Kiedy przynieśli portret brata, Michał nie mógł się nim nacieszyć. Zosia się nie odzywała, ale często wzrok swój kierowała ku wizerunkowi Ludwika, a po kilkakrotnie odczytywała list jego i w jakieś pomimo-wolne wpadała zamyślenie.

Jeszcze się nie skończyła zabawa u strażnika, a już robiły się przygotowania u generała do przyjęcia tegoż obywatelstwa.

Były i inne uczyty, bo każdy krewny, każdy przyjaciel, wedle swojej możności, chciał okazać, że podziela radość dwóch domów zacnych, a wkrótce mających się połączyć.

Ale żaden festyn równać się nie mógł temu, co go dał sam wojski narzeczony, na dzieńczynienie za okazaną mu życzliwość swoich powietników. Dwieście osób siedziało za jego stołem. Było dwunastu wice-gospodarzy, ciągle zajętych biesiadującymi. Oprócz waz i ciast, osiemnaście potraw z kolei pokazało się na je-

go obiedzie, który był dany w ogromnym refektarzu ojców Bernardynów słonimskich. Na korytarzu stały oksefty i antały, boby nie nastarczono dobywać korków z butelek, a sześciu piwnicznych nieustannie toczyli wino w dzbany i odsyłali je gospodarzowi i wice-gospodarzom.

Na dziedzińcu klasztornym zastawione były stoły dla ubogich, na których jadła, gorzałkę i piwo szafowano, a nadto każdy ubogi dostał po dwie koszule i jednej siermiędze.

Te hulanki, przeszło dwa tygodnie trwające, pan strażnik drogo opłacił, bo raptownie zapadł.; położył się w łóżku i z niego już nie powstał.

Przed śmiercią ogłosił on ostatnią wolę swoją, mocą której cały majątek Michałowi zapisywał. Ale Michał rzucił się ojcu do kolan i póty prosił, molestując, by Ludwikowi krzywdy nie czynił, aż stary uległ.

Po odbytych pogrzebie, generał Kunicki wyznaczwszy dla Michała i Zosi dzień ślubu, trzecią niedzielę po niedzieli kończącej żałobę Michała, powrócił do Niewodowa, dawnego swojego mieszkania pośród szerokich dóbr, które posiadał w mińskim województwie.

Wojski, utuliwszy się nieco z żalu po tak bolesnej stracie, napisał do brata list obszerny, donosząc mu o ich wspólnem osieroceniu, — że ojciec umierający w ostatniem błogosławieństwie żadnej nie czynił różnicy między pozostałymi po nim synami; że skład interesów domowych wymaga najrychlejszego podziału dość znacznej ojcowizny, a nadewszystko ich zbliżenia się do siebie, by osobiście się umówić względem niektórych okoliczności familijnych, ile że ojciec ich odumarał bez żadnego rozporządzenia; że, będąc właścicielem

połowy tylko spadku, ma ręce związane w obrocie całkowitej masy. Zatem najusilniej go uprasza, by, nie tracąc czasu, choć na parę tygodni raczył zjechać do Litwy, i przy tej okoliczności poznał brata do niego zawsze przywiązanego, uważającego w nim głowę swojej rodziny, i który postanowił sobie, we wszystkim ile możności dawać się jemu powodować, jako młodszy brat starszemu.

Ludwik odpisał, nie szczędząc wyrazów tkliwych w wynurzeniu swojego żalu po nieodżałowanej stracie, która ich obojga dotknęła. Co do spadku po ojcu, pisał, że go już doszła wieść, iż ojciec był rozporządził całym majątkiem na wyłączną korzyść brata, i tylko na usilne jego prośby to postanowienie cofnął; że ta wspaniałości myślność brata bynajmniej go nie dziwi, że na jego miejscu inaczejby nie postąpił, wszakże nie przestaje mu zachowywać dozgonnej wdzięczności, ile że się opiera na najwyższym szacunku do jego osoby. Zresztą, że będąc z siebie dość bogatym, mało dba o spadek ojczysty, a zatem niechaj brat rozporządza się wedle woli swojej w tym majątku, który rzeczywiście jemu samemu był przeznaczony.

III.

W kilka tygodni potem mnóstwo pojazdów toczyło się po wszystkich gościńcach prowadzących do Nieświeża, bo to było 4 listopada, w dniu radości dla Litwy, gdyż przynosił rocznicę imienin ulubionemu księciu Karolowi Radziwiłłowi, wojewodzie Wileńskiemu,

Na gościńcu między Kleckiem i Nieświeżem, gościńcu w dniu tym tak udeptanym karetami, kolebkami, bryczkami, wózkami i prostymi wozami, toczyły się poważnie dwa pojazdy nierównej między sobą wartości, ale, że drugi trzymał się metodycznie zawsze tej samej odległości od pierwszego, wniesć można było łatwo, że oba do jednego dworu należały.

Pierwszy pojazd był angielska karetka podwójna, żółto lakierowana. Sześć ogierów brudno-kasztanowatych z konopiastemi grzywami, jakby z jednej formy ulanych, a wysokiej ceny, ciągnęły wykwintny pojazd. Stangret, po meklembursku ubrany, z wąsikami dobrze otynkowanemi sadzą i lojem, z małym kapelusikiem stosowanym, na głowie silnie upudrowanej, niekiedy trząsał z sążnistego bicia. Strzelec w zielonej odzieży siedział na koźle obok stangreta, a dwóch lokai stało za pojazdem.

Za kareta toczyła się bryka wygodna, obładowana, że ją ledwo ciągnęły cztery konie dzielne, siwo-srokaty, w krakowskich chomatach, a nad temi końmi prowadził samowładne rządy stary woźnica.

Obok woźnicy siedział chłopiec mniej więcej szesnastoletni, który ciągle wyzywał do swawoli poważnego sąsiada, czasem ofukującego młodego trzpiota. A w samej bryce drzemał rozwalony ktoś naksztalt starego eleganta, bo z fryzurą nastroszoną, a obwinięty w chałat bielistkami podszyty.

W karecie siedziało dwóch młodzieńców, bo nad lat trzydzieści nie okazywały ich oblicza. Po lewej stronie siedzący miał wąs zawieszisty, jasny, a z pod czapki szafirowej, kasztanowatym jagnięciem obłożonej, na bakier posuniętej, wyglądała czupryna, od wa

sów nieco ciemniejsza, wysoko podgolona. Miał na sobie taratatkę barwy szafirowej jak czapka, a podszytą perwistkami, taratatkę opasywał pas podróżny z czarnej palonej skóry, zamykający się klamrą srebrną, z dwoma pochwami, z których wyglądały pistolety.

Kawaler po prawej stronie siedzący miał na głowie coś nakształt czepka, z gęstej czarnej siatki jedwabnej, z pod którego dostrzec można było kilka papilotów nad uszami. W podróży żadna fryzura utrzymałaby się nie mogła w przyzwoitej świeżości; dopiero na miejscu zdejmował się czeppek i układały się włosy pod misterną ręką fryzjera. Ubioru jego nie można było widzieć, bo siedział obwinięty w płaszczu z aksaritu czarnego, podszytego gronostajami. A na kolanach, jakby się jeszcze niedość uzbroił do walki z jesienią litewską, leżał zaręczawek z bogatych soboli.

Obaj podróżni nic do siebie nie mówili, bo Sarmata odmawiał swój różaniec, a zachodnik nucił arję z jakiejś opery francuskiej.

Zajechali bracia Strawińscy, gdyż oni to byli, prosto na dziedziniec pana Szabańskiego, przyjaciela Michała, gdzie zastali furgon, na którym wojski był wyprawił pościel i garderobę braterską, wraz z jego kamedynerem, Korendowiczem, i szatnym swoim, Czesławem Buńczukiewiczem.

Pan Szabański z poufałością zażyłego przyjaciela kilkakrotnie uściskał wojskiego, skłoniwszy się z oznaką głębokiego uszanowania przed panem starostą, i nie bez zadziwienia spoglądał na tę mieszaninę stroju męskiego, ubrania głowy niewieściego, a płaszcz nakształt kapłańskiego. Zaprowadził go do mieszkania dla niego przeznaczonego.

Było izb trzy: pierwsza dla usługi, ostatnia sypialnia starosty, a średnia na ubranie. Ta była najobszerniejszą i w niej już zastali porozkładane na wielkim stole liczne sprzęty, niezbędne dla wykwintnisza wielkiego świata.

Pan wojski naprzeciwno, w komnacie pana Szabańskiego, założył główną kwaterę i do niej poszedł z gospodarzem, by bratu dać czas rozpoczynać pracowite przebranie.

Wojski z panem Szabańskim poszli do stajni, ulokowali pojazdy, konie i ludzi. A potem pan wojski, napisawszy wedle umowy list do przyszłego teścia, ze swoim szatnym wziął się do ubrania.

Na żółtych safjanowych butach nałożył karmazynowe hajdawery, które oskórkiem jedwabnym z kutasami zawiązał ściśle niżej brzucha. Przywdział żupan z atlasu błękitnego tak świeży, jak dopiero rozkwitły w pszenicy bławatek, zapiał go na szyi czterema guziczkami jedwabnymi, tejże samej barwy, pośrodku których zaczepił spinkę z emalji błękitnej, gdzie błyszcząca brylantowa cyfra księcia Karola Radziwiłła, nie zaniebawszy spuścić kołnierzyk od koszuli, na dwa palce szeroki, a biały jak opłatek, na kolendę ofiarowany dobrodziejowi klasztoru. Na tem wszystkiem kontusz koloru słomianego, błyszczący jak złoto, z kołnierzem błękitnym, z takiemiż obszlągami, a podszyty atlasem z tejże sztuki co i żupan. Za pomocą pana Szabańskiego opasał się pasem litym, cudowną słucką robotą, gdzie na tle szczerozłotem równianki z niezabudek i astrów błękitnych zdawały się być świeżo zerwane. Pięć razy okręcił się w pasie. Węzeł tak zgrabnie ułożył pan Szabański, że jakkolwiek nasz wojski

nie był próżny, kilka razy z upodobaniem popieścił wzrok bogatym kwastem od pasa, a myśl obrazem swej narzeczonej, którą miał za chwil kilka oglądać. Przyczepił do pasa karabelę. Rękojeść szabli była szczerolota, w turkusy oprawna, ale na znak żałoby była obwinięta przezroczystą krepą. Na tej rękojeści położył wojski czapkę z aksamitu błękitnego, okoloną jasno-kasztanowatym wyporkiem krymskim wysokiej wartości. Wyloty od kontusza zarzucił i kazał je zapiąć na hacik; wasa wymuskał przed zwierciadłem i poszedł z gospodarzem do izby brata, by się u niego upomnieć o przyobiecany list do generała.

Zastali starostę siedzącego w pudermantlu z jedwabnej materji, przy małym stoliku makatą turecką okrytym. Na tym stoliku stała miednica i kubek srebrny, pozlacany, kilka elegancyj do toalety potrzebnych i duża kryształowa szklanka wiekiem przykryta, z herbatą tak tęgą, że ją można było zrazu wziąć za wino. Przed starostą dwóch służących trzymało zwierciadło w ramach srebrnych; w tem zwierciadle starosta się przeglądał, podczas gdy stary fryzjer, ufryzowawszy mu głowę, sypał na nią starannie szron pudru biało-żółtawego, a tak zaprawionego piżmem, że nieprzyzwyczajonemu trudno było dosiedzieć.

Za danym znakiem, lokaje ze zwierciadłem rozstąpili się, a pan powstał i, raptownie zrzućwszy pudermantel, wziął na siebie szlafrok z perskiej materji w wielkie kwiaty różnobarwne na tle ponsowem, przepraszając pana Szabańskiego, że przy nim się ubiera. Usiadł na nowo i podał nogi klęczącemu kamerdynerowi, który z nich zdjawszy skarpetki z surowego jedwabiu, na ich miejsce wciągnął pończochy. Wciśnięto

mu na nogi frzewiki z wysokimi korkami ponsowemi, a tak lakierowane, że zwierciadło mało co jaśniej odbijało przedmioty.

— Już prawie jestem gotowy. Jeżeli karetą już jest wymyta, możesz kazać zaprząć, jestem na twoje rozkazy — powiedział Ludwik.

— Suknię wezmę, jak karetą zajędzie, żeby jej świeżości w niczem nie uszkodzić. Ale jak widzę, ekwipaż już gotów!

Wstał, zrzucił szlafrok i wziął na siebie westę długą z atlasu białego, haftowaną blaszkami złotemi. Pod nią przyczepił kamerdyner pendent ze szpadą, której rękojeść ze stali angielskiej, co do blasku równała się brylantom, zwłaszcza przy świetle kunsztownem. Nareszcie zarzucił wstęgę świeżo ustanowionego orderu Świętego Stanisława. Lokaje, ubrani w liberji kapającej złotem, podali mu zwierciadło, w którym się z upodobaniem przeglądał. I nie pewniejszego, że trudno było widzieć nadobniejszego kawalera.

Nakoniec podano mu suknię. Suknia była z aksamitu, koloru trzymającego środek między najwyższym szafirem a najświecniejszym amarantem.

Kamerdyner podał mu kapelusz jedwabny do trzymania w rękę; tabakierkę złotą z portretem królewskim, otoczonym brylantami, w którą nie omieszczał nasypać winegreli (środek trzeźwiący), żeby na każdy wypadek mieć czem damy trzeźwić, drugą tabakierczkę, zwaną printanierką, którą otworzywszy, zapach rozchodził się wokoło, trzecią tabakierczkę z piórkiem do zębów; zegarek z brelokami i kieskę z dukatami holenderskimi. To wszystko starosta rozłokowawszy po różnych kieszeniach, zlekka rzucił na barki płaszcz pon-

sowy, białym jedwabiem podszyty, ozdobiony szczerem złotem guziczkami, wziął trzecinę z bogatą skówką, chustkę do nosa uperfumował jakimś wonnym paryskim wyskokiem i wyszedł z bratem do zajeżdżającej przed ganek karety.

Nim nasi bracia stanęli na zwodzonym moście zamku, już trębacz przed nim czatujący otrąbił przybycie nowych gości, a za mostem warta Radziwiłłowska stanęła pod bronią, dla ich uczczenia. Natychmiast dwóch sążnistych hajduków, otworzywszy karotę, na rękach z niej wynieśli naszych gości i lekko ich postawili na samym progu.

Zastali w sieniach kilkanaście osób, a między nimi księcia wojewodę, który jako gospodarz pełen gościnnej grzeczności, za każdym odezwaniem się trębacza biegł do sieni dla przyjęcia każdego, łaskawie pamiętającego na dzień jego imienin. Książę był wysokiego wzrostu, przyzwoitej otyłości, twarzy, na której pogoda serca się malowała i uśmiech, któremu się oprzeć było trudno. Duże oczy błękitne, pełne ognia i dowcipu, błyszczały na licach, których białosć mogłaby pobudzać zawiść kobiety. Wedle zwyczaju litewskiego, głowę miał wysoko podgoloną, a wąs gęsty, do góry zakręcony, uzupełniał obraz prawdziwego Sarmaty.

Obaj Strawińscy, złożywszy życzenia, a Ludwik ponadto i listy królewskie, które go na Litwę były spowodowały, jako, że król go posłem zrobił do Radziwiłła, poszli dalej w zamek.

Starosta, przechodząc salę staroświeckiego zamczyska, nie bez zadziwienia uważał skromność jego

ubrania. Nie widać było ani bronzów, ani mahoniów, ani tych innych wymysłów, napelniających mieszkania nierówno mniej możnych obywateli w Warszawie. Tu zaś, oprócz kobierców, zawieszonych na niektórych ścianach, kobierców kiedyś kosztownych, żaden zbytek, żadna wykwintność nie raziły równości szlacheckiej. Gdy weszli do sali, nazwanej portretową, że już to się zbliżała szósta godzina, a pajuki zapalili światła, więc mógł uważać na ścianach szereg długi przodków Radziwiłłowskiego domu. Wokoło tej wielkiej sali pod ścianami były ławki, obite aksamitem, kiedyś zielonym; a między ławkami jakaś przerwę okazywały gdzieniegdzie kanapy dwa razy wyższe od ławek, z dwoma stopniami, jak ołtarze, aksamitem pokryte jedwabnym, karmazynowym, ale nie mniej spleśniałym. Oprócz tego mnóstwo krzeseł i stołków, z których formowały się różne grupy, było porozrzucanych w rozmaitych dyrekcyjach sali. Zamiast dzisiejszych posadzek w arabeski wyrabianych, była poprostu gładka podłoga dębowa, starannie jednak woskowana. Jedyne sprzęt, któryby w tej sali mógł na sobie zatrzymać czas jakiś wzrok wędrownika, nawykłego deptać szlaki zagraniczne, był to pajak na pułapie zawieszony, z kryształu weneckiego, oświecony od trzechset świec, wprawdzie żółtych, ale których blask, odbity w tysiącu brylantowanych kryształkach, wracał sownie wszystkie utracone blaskiienne.

W tej-to sali zebrani byli obojga płci krewni, przyjaciele, klienci i słudzy najpotężniejszego bogactwem i popularnością magnata polskiego. Kobiety siedziały na ławkach, matrony poważne urzędem i z płci drugiej ważne osoby duchowne i świeckie, z niemi na wygodniej-

szych kanapach rozmowę wiodły; a inni, usiłując i panów i damy zabawiać, kolejno od jednych do drugich przenosili grzeczności swoje.

Wtem powstała młoda dziewczica z ławki, gdzie siedziała obok osoby już podeszłej w wieku. Czystość jej rysów, żywość granatowych oczu, osłoniętych długimi a ciemnymi rzęsami, giętkość jej talji, wszystkie te wdzięki razem, wprzód jeszcze nim usta otwierała, już zniewalały; a sposób, jakim była ustrojona, przekonywał o stopniu położenia towarzyskiego, na którym Opatrzność ją umieściła. Jej włosy czarne, trefione w kilka gęstych i długich kędziurów, łączył grzebień igrających szafirów, ledwo nie równających się w blasku jej oczom, z brylancikami je otaczającemi. Na śnieżnej szyi miała kolje z ametystów i brylantów; bransoletki takiego samego kształtu zdobiły jej ręce, prawie do połowy ramienia obnażone, a kolce z czystych brylantów uzupełniały bogactwo jej ubioru. Gors, nad wszystkie te skarby bogatszy, zasłonięty był koronką we trzy rzędy spadającą; ale wzrok błędzący nie takie w tej obłonce znajdował przeszkody, by nie mógł przedzierać się do celu zbyt słabo zakrytego. Suknia z gazy, białej, w złote kwiatki haftowana, okazywała się nad inną spodnią odzieżą, z atlasu jasno-słomianego, tak odbijającego wdzięki nadobnych czarnobrewek. Ta suknia, nieco kusa, bo do tańców przygotowana, pozwalała widzieć arystokratyczną nóżkę, w pończoszkę lyońską obwiniętą, a zamkniętą w trzewiczek atlasowy białych, złotem blaszkami wyszyty. To wszystko było tak dobrane, tak sporządzone z tym smakiem wrodzonym, co go wszystkie narody zazdroszczą naszemu Polkom, że niema na kuli ziemskiej miejsca, gdzieby zjawienie się

podobnej niewiasty w takim stroju jakiegoś wrażenia nie zrobiło. Była to Zosia Kunicka.

Pani generałowa Morawska, siostra ks. Radziwiłła, z innemi damami i księciem wojewodą zaczęły prosić pana starostę Ludwika Strawińskiego, by raczył tańcować menueta, jaki był w używaniu na dworze króla francuskiego. A że pani generałowa wiedziała, że Zosia w Wilnie uczyła się tego tańca, przyprowadziła ją do pana starosty, jako parę do menueta. Pan starosta, który zdumiał się piękności swojej przyszłej bratowej, którą w tej chwili właśnie był poznał, ze zwyczajną uległością dla dam kawalera wielkiego świata, skłonił się na znak posłuszeństwa, ale że kapela księcia o tym tańcu nie miała wyobrażenia, on, uchwyciwszy pierwsze skrzypce, zaczął ją uczyć tej muzyki jakby z niechcenia, ale po zacięciu śmyczka zaraz można było poznać mistrza. Po dwóch czy trzech powtórzeniach, pojętna kapela była w stanie rozpocząć zawód, i taniec się zaczął. Uroda i bogaty ubiór tej pary, zgrabność, którą oboje rozwijali w poruszeniach pełnych godności, to wszystko tak zajęło, tak zachwycało wszystkich, że stali jak posagi, czekając końca tej pantominy, prawdziwie czarodziejskiej. Wszystko na tańkowe zjawisko się poruszyło. Odgłos jednomyślnych klaskanń licznej publiczności odpowiedział skromnemu i uniżonemu, ale pełnemu wdziękowi ukłonowi, którym zakończyła menuet tak dobrana para. Nigdy w zgromadzeniu z Polaków zebranem podobna jednomyślność nie dała się widzieć, a szlachta, która dopiero ponurym i podejrzliwym wzrokiem spoglądała na starostę, jakby uderzona czarodziejską laską, nietylko że hurmem tłoczyła się do niego z oznakami uprzejmości i przyjaźni.

ale hucznie dopominała się, aby wypić zdrowie tak pięknej, tak gładkiej pary. Uzupełniony triumf starosty zakończył krzyżujące się wrażenia tego balu.

IV

Po imieninach u ks. Radziwiłła obaj bracia Strawińscy wybrali się do generała Kunickiego, do Niewodowa. Michał chciał przeprowadzić przed ślubem dział z bratem, a Ludwik godził się w zupełności na generała, jako arbitra i sędziego w tej sprawie.

Zajechali przed dwór.

Wojski miał na sobie kontusz zielony i żupan błękitny w srebrne kwiateczki, a starosta był w mundurze kawalerji narodowej, bo między innemi zaszczytami otrzymał był pułkownikowstwo w chorągwi królewskiej.

Po ogólnych przywitaniach, gwarzono sobie swobodnie. Wszakże wśród ogólnych rozmów pan starosta niemało grzeczności umiał powiedzieć. Zosi, a z tem przymileniem dowcipu, chcącego się wszystkim podobać, w rzeczy samej wszystkich zajął osobą swoją. Takie położenie rzeczy przetrwało i wieczór i wieczerek. Potem nastąpiły długotrwałe ceremonje ze strony generała, chcącego koniecznie osobiście odwiedzić starostę na kwaterę, ale starosta w żaden sposób na to nie chciał pozwolić. Odwiozła więc kolasa generała samych braci Strawińskich do budynku, gdzie się mieścił zarząd dóbr Niewodowskich, w asystencji koniuszego Buńczukiewicza, który ich konno przeprowadził, a domownicy nie

wodowscy jeszcze godzinę pozostali, by z sobą pomówić o gościu.

Starosta był u wszystkich przedmiotem pochwał i nadziei. Na wszystkich ustach brzmiało jego nazwisko i nigdy bez jakiegoś zaszczytnego przymiotnika. Jedna tylko Zosia mileżała.

Bracia znowu na swojej kwaterze, jakkolwiek znużeni podróżą, nie mileżąc poszli do wczasu. Starosta wedle swojego zwyczaju kazał podać sobie szklankę tęgiej herbaty, którą pijąc, rozbierał się i rozmawiał z wojskim.

— Co to za godny starzec, twój generał! a jakie życie, jaka czerstwość zdania w tym człowieku! Wierzej mi, że nie mogę tobie podziękować się, żeś mnie tu przywiózł. Niewodów, to jest szkoła dla mnie. Jak tu wszystko dobrane! Ten Bernardyn, tak niespodziewany w swoich uwagach, ta łowczanka, tak naiwna w przywiązaniu swojemu do brata, te ich wzajemne gderania, a widać, że bez siebie obejść się nie mogą. I to wszystko służy jak za oprawę Zosi, która pośród nich błyszczy, jak djament bez skazy.

— Niech Bóg błogosławionym będzie, że ci nasza Litwa tak się spodobała. Obaczysz, bracie, że jak między nami zasiądziesz, to nie będziesz się mógł rozstać z naszymi borami.

Bracia rozmawiali długo. Ludwik zachwycił się wszystkim.

Nakoniec, uważając, że bratu już się oczy kleiły, poprosił go, by udał się na spoczynek, a sam, zamiast pacierzy, od których był odwykł, zaczął wedle zwyczaju francuskiego pisać swój dziennik, pokąd z rąk snem odrętwiałych pióro nie wypadło.

Starosta był człowiekiem honoru, szacował i miłował szczerze brata, umiał mu być wdzięcznym i bez wahania zrobiłby dla niego ofiarę z życia i majątku. Gdyby starosta do tych przymiotów, któremi tak hojnie był uposażony, miał jeszcze religję, ze strachem byłby rozpatrywał to wrażenie, które robiły na nim widok, obcowanie, każde słowo wychodzące z ust Zosi; byłby po dwudniowym pobycie opuścił Niewodów, a w Warszawie wkrótce pracowitość zawodu byłaby wymazała z jego pamięci rysy niebezpieczne. Ale starosta, nie umiejący opierać się żadnemu pociagowi, nie umiejący przewidywać żadnych smutnych następstw z tego wszystkiego, co mu się zdawało przyjemnem, siedział w Niewodowie, ulegając prośbom przyjaźni, które go w gościnnym domu zatrzymywały, i oddawał się bez wyrzutu sumienia słodyczom przyjaźni z przyszłą bratową. Obojgu się zdawało, że to była niewinna przyjaźń, a tymczasem najgwałtowniejsza miłość wkradała się w dwa serca, które szranki honoru i najświętszych obowiązków na zawsze od siebie przegradzać były powinny.

Tak tydzień po tygodniu upływał, generał już był skończył dział obu braci; interes, który ściągnął Ludwika do Niewodowa, nawet pozornych przyczyn nie podawał, by go dłużej zatrzymać, a jednak o wyjeżdżanie nie myślał. Napróżno nagłące listy odbierał z Warszawy. Rozmawiał z Zosią, albo w śpiewie, bo śpiewali razem, jednoczył z jej duszą duszę własną. Oboje siebie rozumieli, chociaż przed sobą samymi nie umieliby zdać rachunku ze swoich myśli. Zosia częściej niż kiedy się zamyślała. Ludwik bez niej był milczący, ponury, nieprzystępny. Ile razy wojski na osobności zapytywał



brata o pobudki jego smutku, ten się tłómaczył listami, które często odbierał z Warszawy. Wojski poprzestawał na tem tłómaczeniu. A tymczasem cała okolica szemrała.

Jednego poranku z poczty przybył do starosty posłaniec z paką listów. Było między niemi pismo od króla własnoręczne, które niezwłocznie domagało się jego powrotu, i to pod utratą na zawsze łaski. W tem piśmie oświadczył król, że się gotuje jakaś ważna okoliczność, mająca dać zupełnie inny obrót interesom politycznym kraju, że jego współdziałanie jest niezbędne, gdyż nikomu tyle nie ufa; nakoniec w liście tym przejawiały się wielkie jakieś nadzieje w przyszłość, pokryte jednak tajemniczą powłoką. Ludwik czas jakiś pasował się z sobą, ale głos honoru i powinności zdołał przeważyć wszelkie inne pociągi. Odczytał Michałowi z listu królewskiego rozkaz mu dany stawienia się jaknajrychlej w Warszawie, a pomimo nalegań Michała, żeby jeszcze tydzień pozostał z nimi, przekonał go, że nazajutrz musi Niewodów opuścić.

Kiedy przybył do bawialnego pokoju, wszystkich mieszkańców Niewodowa zastał w smutku, bo już brat jego był ich dopiero zawiadomił o rychłym jego wyjeździe. Namawiano go, błagano, żeby został.

Nie mógł się oprzeć starosta prośbom brata, przyszłej bratowej, gospodarza, którego czcił i kochał jak własnego ojca. Nakoniec czuł, że w krótkim i gorzkim żywocie ludzkim miło jest choć dobę jeszcze przepędzić z tymi, co nas miłują; każda chwila, błogo przepędzona, zdaje się, iż jest ukradziona przeznaczeniu. Dał się więc uprosić.

Cały dzień przeszedł wesoło, bo już nie był ostatnim, w którym korzystać mieli z obcowania starosty; a on sam, nadzwyczaj wesoły, wydobywał wszystkich skarbów dowcipu, żeby zająć przyjaciół, z którymi blisko dwóch dób jeszcze miał przepędzić.

Nazajutrz dobrych parę godzin przed świtem, wojski wyjechał naprzód, by czekać brata w Słonimie, kędy trakt szedł do Warszawy.

V.

Przed samym obiadem przybyło dwóch gości niespodziewanych. Pierwszy, był to pan Jan Wazgird, drugi był pan Sztyrmer, chorąży chorągwi generała. Pan Wazgird, rodzony siostrzeniec generała, pocałował w rękę generała, łowczankę i księży i głośny całus położył na każdym policzku Zosi, a starostę zaszczycił ukłonem, przypominając, że w Nieświeżu szukał z nim znajomości. Jego powitanie ze starostą, jakkolwiek grzeczne, było jednak zimne, i w jego spojrzeniu można było dostrzec coś nieco zaczepnego. Pan Sztyrmer był skromny i powazny.

Po skończonym obiedzie generał wysunął się dla spoczynku, wszyscy inni pozostali. Po kilku chwilach milczenia, pan Wazgird, wzięwszy poufale Zosię za rękę, a siejąc na starostę spojrzenia szydercze, rzeki:

— Cóż to, siostrzyczko? Jak widzę, Niewodów ciędu dokazuje. Pan starosta, na zagranicznym chlebie

wielkiego świata wykarmiony, doby nie powinienby usiedzieć w towarzystwie parafjan we wsi zasklepionych, a tu siódmy tydzień bawi, i zdaje się, że już zapomniał o Warszawie. Komuż tak wielką odmianę w jego nałogach przypisać? czy wujowi, czy ciotuni, czy księdzu Chlebowiczowi? Wszak prawda, mości starosto, że pan tu się nie nudzi?

— Mości panie — odpowiedział Ludwik — z tak szanownymi, tak przyjemnymi gospodarzami, jakimi są mieszkańcy Niewodowa, nudzić się niepodobna; a co się tyczy obcych, chociaż tu często przybywają goście, do dnia dzisiejszego nie było między nimi nudziarza.

Pan Wazgird nosa nadstawił i wasa zaczął kręcić.

— Pan starosta — rzekł — chce mi dać do zrozumienia, że ma mnie za nudziarza?

— Mój mości dobrodzieju, niczego nie chcę, tylko świętego pokoju z całym światem. Nie wglądam w niczyje postęпки i nie wkraczam, pragnąc, by i w moje nie wglądano, i nic innego waszmości panu nie chcę dać do poznania. Zresztą przysłowie niesie, że w stół uderzyć, nożyce się odezwą.

— Ja podobnych alegoryj nie lubię i nie rozumiem, a po parafjańsku przyzwyczajony jestem każdemu otwarcie mówić to, co chcę, by wiedział. Prosiłbym więc pana starostę, by mię raczył oświecić, czy to przysłowie, dopiero co przez niego przytoczone, jest pociskiem na moją osobę wymierzonym?

— A ja proszę najpokorniej waszmość pana dobrodzieja od nauk jego osoby mię uwolnić.

— A kiedy tak — odrzekł Wazgird — to sobie samemu trzeba to wytłómaczyć. A więc...

(Tu ksiądz Prosper mu przerwał:

— Cóż to, pan Jan, jak uważam, wedle swojego zwyczaju chce szukać klótni; ale mój brat generał wacpanu wcale nie będzie obligowanym, jak się dowie, że jego domu napastujesz gości, których poważa; a ja śmiem prosić pana starostę, byś raczył zaśpiewać z Zosią ten prześliczny duet onegdajszы, zaręczam, że i panu Wazgirdowi to się podoba.

Starosta usiadł przy klawikorcie z Zosią, a pan Wazgird, przy oknie siedząc obok pana chorążego, zaczął jemu coś szeptać do ucha; ale kiedy się duet zaczął, przybliżyli się obaj do klawikortu.

Ta muzyka była tak czarująca, że nawet pan Wazgird zdawał się być udobruchanym; zbliżył się do starosty i szczerze zaczął mu dziękować za przyjemne wrażenia, co ich z jego łaski doświadczał: ale starosta tak był wzruszony, że wyjść musiał, a spostrzegłszy na dziedzińcu jakieś saneczki, kazał się zawieźć na swoją kwartę, gdzie znalazł ludzi swoich, zajętych pakowaniem rzeczy.

(Wkrótce po przybyciu starosta spostrzegł przez okno zajeżdżające przed dom sanie, a z nich wysiedli pan Wazgird i pan chorąży i weszli do jego izby; starosta, przyjmując ich z uprzejmością, gospodarzowi właściwą, prosił, by raczyli usiąść, gdy pan Wazgird mowę do niego obrócił temi słowami:

— Mości panie starosto, nie mam czasu do stracenia, a jako szlachcie ze szlachcicem otwarcie i szczerze muszę się mu wytłómaczyć. Brat pański jest zaręczony z moją siostrą, której sława droższą mi jest nad życie, a jej sława niemało cierpi na przedłużonym pana pobycie w domu jej ojca. Nie w innym celu tu przyby-

łem, tylko żeby pana zapytać, jak mam trzymać o tych wieściach, oraz go prosić, iżbyś nietylko wyjechał z Niewodowa, ale dał mi rękę na to, że przynajmniej przez lat trzy od dzisiejszej daty żadnych stosunków ani osobistych ani listownych mieć nie będziesz z moją siostrą.

Ludwik czuł, że krew mu zakipiała w żyłach, jednak nie wyszedł z granic umiarkowania.

— Mości panie Wazgirdzie — odpowiedział — sława narzeczonej mojego brata nie mniej od Wpana mnie obchodzi, ale i dla niej i dla siebie pogardzam podłą potwarzą. Z moich zaś postępków nikomu sprawy nie zdaje i pozwól pan sobie powiedzieć, że dla niego od mego obyczaju nie odstąpię.

— Przewidywałem pana odpowiedź — odrzekł Wazgird. — Nie nam tedy nie pozostaje, jak ułożyć się o czas i miejsce do rozprawy, cokolwiek zwawszej od tych, co na słowach się kończą; pan chorąży jest moim świadkiem, prosiłbym pana, byś ze swojej strony podobnego wskazał, bo już odtąd wszystko od nich tylko zależeć będzie.

— Chociażbyś Wpan zostawiał do tego czas dostateczny, w tych stronach świadka nie umiałbym znaleźć, a moje starania około jego szukania, ogłaszając nasz zamiar, tem samem nie dozwoliłyby mu przyjscia do skutku; upraszam więc pana chorążego, by razem raczył być i moim świadkiem, upewniając go, że z nieograniczoną ufnością polegam na jego honorze szlacheckim i oficerskim.

— I na nim się pan nie zawiedziesz — odrzekł chorąży, skłoniwszy się. — Jakież jest czas dla pana starosty najdogodniejszy i jakiej broni pragniesz użyć do tej sprawy?

— Czas nie może być inny, jak jutro o świcie. Co się tyczy broni, najwłaściwiej pistolety wszystkie trudności rozstrzygną.

— Co do miejsca — odezwał się Wazgird — mniej niż o ćwierć mili od dworu na trakcie wileńskim stoi karczma; tam przed świtem jutro się zobaczymy, jeżeli wola pana starosty.

— Zgoda — odpowiedział starosta.

— Teraz wracajmy razem do wuja, żeby niczem nie dać poznać, co myślimy z sobą zrobić przy wszczy-
nającym się dniu jutrzejszym.

— I owszem, z całego serca. Pozwólcie państwo, bym kilka słów tylko napisał, a potem zaraz im służyć.

Kazał sobie podać pugilares podróżny, a dawszy rozkaz Korendowiczowi, żeby jego rzeczy upakowawszy, jak zmrok nastąpi, wyruszył z niemi do umówionej karczmy i tam na niego czekał, wziął się do pisanja. Przeprosiwszy gości, że ich przetrzymał, lubo z sercem pałającym gniewem, z powierzchownością jednak przyjacielską, wsiadł z nimi do sań i wrócili razem do bawialni generała, gdzie nie bez niespokojności ich oczekiwano.

Jakkolwiek pan starosta lekceważył sobie obyczaje narodowe, we wszystkim prym przyznając Francji, pan Wazgird dał mu próbę waleczności polskiej. bió-
rej nie mógł nie oddać należytej sprawiedliwości; widział go albowiem na kilka godzin przed śmiertelną walką tak obojętnym, tak wesołym, jak gdyby był zaproszony na ucztę. Niczem nie zdawał się być zajęтым, jak tylko pomaganiem wujowi, by ten ostatni wieczór pobytu jego gościowi uprzyjemnić. Rozmaite koncepty sypały mu się jak z rękawa, koncepty nie zawsze

szczęśliwe, ale które wszystkie pobudzały jednak nie-pohamowany śmiech generała. Zosia była ciągle zamysłoną, a ta jej widoczna niespokojność tyle wywierała wpływu na Ludwika, że się wewnątrz rumienił, iż nie mogąc sprostać w wesołości swojemu przeciwnikowi, czuł siebie być poniekąd upokorzonym. Przy wieczerzy generał nalał spory kielich starem węgierskiem winem i spełnił zdrowie starosty, w ręce pana Wazgirda. Pan Wazgird z największą uprzejmością wypił to zdrowie i kubek próżny oddał panu chorążemu; z równą uprzejmością, chociaż małym kieliszkiem, starosta wypił zdrowie i gospodarza gości, odwdzięczając im tę pamięć o nim. Po wieczerzy generał, nad swój zwyczaj, do pierwszej po północy bawił się z towarzystwem, aż nakoniec starosta, widząc go snem zmorzonym, ledwo uprosił, by przyjął jego pożegnanie i raczył pójść do wczasu. Stary, odchodząc, powiedział:

— Zosia, ponieważ za godzin kilka przysły twój brat odjeżdża, bawże go, póki sam was nie pożegna. Jutro cały ranek swoje odeśpisz, a waćpan, panie siostrzanie, pomagaj Zosi, by ten ostatni wieczór, w który mam szczęście posiadać w moim domu pana starostę, pozostał mu w miłej pamięci.

Generał odszedł. Zosia była smutna, ledwo nie-kiedy lekkim uśmiechem odpłacając rubaszne krotofile swojego kuzyna. Ani się spostrzegli, kiedy kukulka sześć razy kuknęła. To już było oczywiście hasłem do rozstania się. Starosta ze wszystkimi zaczął się żegnać. Zosia już leż wstrzymać nie mogła, a on sam niemięskim smutkiem dał poznać, ile to rozstanie go kosztowało. Wyszedł nakoniec do żywego wzruszony,

pan Wazgird i pan chorąży oświadczyli, że go odwiozą na kwaterę. Wyszli; mróz był umiarkowany; noc mieścienna, a jej ciszy najmniejszy wietrzyk nie poruszał; gdy sanie wyjechały za wrota, starosta towarzyszom swoim oświadczył, że pieszo chce powracać, na co się oba zgodzili tem chętniej, że ich przekonał, że potrzeba uczynić, ażeby woźnica ich nie zdradził. Sanie odeszły, a oni piechotą puścili się do umówionej karczmy. Tę około ćwierci mili litewskiej pieszą przechadzkę pan Wazgird starał się jeszcze uprzyjemnić staroście grzecznością i uprzejmością swoją. Kiedy doszli do celu podróży, już pierwsze brzaski krasić zaczęły niebiosy; w karczmie zastali wszystkich nietylko przebudzonych, ale już krzątających się.

Nie tracąc czasu, starosta kazał Korendowiczowi podać pudło z pistoletami; Wazgird swoje miał pod pachą, a chorąży niósł w kieszeni co było potrzebnem do ich nabicia. Pistolety starosty, bogato oprawne, wzbudziły podziw i przeciwnika i świadka.

Potem każdy zaczął nabijać swój pistolet pod rozważnem okiem chorążego, poczem poszli wszyscy poza karczmę; chorąży dziesięć kroków odmierzył, stanął na samym środku równoległej linji, przeżegnał się, toż samo i pan Wazgird za nim i powiedział:

— Uważajcie panowie na moją komendę. Powiem raz, dwa, a jak usłyszycie trzy, palce do siebie w imię Boże! A który z was nie wypali, ten traci strzał.

Zaczął komenderować. Starosta uważał, że Wazgird brał go wyżej kłęba, on wziął go na cel w głowę, a mając i oko i rękę wprawną, był pewny, że mu ją roztrzaska. Wszakże czy można wątpić o przeznaczeniu? Na to hasło: trzy, pistolet starosty, tak nieza-

wodny, tak doświadczony, spalił na panewce, a kula przeciwnika na wskroś go przeszyla. Padł.

Pan Wazgird zbliżył się do niego, prosząc w imię Boga o przebaczenie:

— Z całego serca — powiedział starosta — ani się waćpan domyślasz, jakąś mi zrobił przysługę, odbierając mi życie.

Zanieśli go, położyli na łóżku żydowskiem, a wkrótce znikło przed nim nawet uczucie własnego jestestwa.

Ledwo ujrzeni starostę na pościeli, pan Wazgird z panem chorążym, nie tracąc czasu, śpiesznie wrócili do domu, i pokładli się w łózkach dla nich przygotowanych, jakby o niezem nie wiedzieli. Ale karczmarz widząc, że starosta jeszcze niezupełnie zabity, pojechał co tchu do rządcy Niewodowskiego, żeby dał jaki ratunek rannemu. Jednak pamiętny na groźby Wazgirda, który zakazał mu wspomnieć o pojedynku, naprędce ułożył bajkę, że kiedy starosta przybył do jego karczmy, już tam zastał dwóch jakichś panów nieznanomych, którzy od godziny na niego czekali, że nawet koni nie kazali wpyrzac. Że jeden z nich strzelił do starosty za karczmą, a powaliwszy go, natychmiast z towarzyszem podróży zniknął. Pan Buńczukiewicz wezwał ojca Kleofasa i jego zabrał ze sobą do karczmy. Ojciec Kleofas, nieźle obeznany z chirurgją, naprędce choremu obandażował rany, wprzód je obmywszy. i na drogach derkami pokrytych zaniesiono go do dworu i ulokowano w samym dworze, w bokówce obok bawialnego pokoju. I natychmiast sprowadzono z Mińska regiment-felczera pułku tam konsystującego.

Felczer, człowiek w rzemiośle swoim doświadczony, rozstawionemi końmi przybywszy, pochwalił

ratunek Bernardyna, i skonkludował, że jeżeli ranny dwie doby przeżyje, to wyjdzie z niebezpieczeństwa, bo pokaże się, że kula prześliznęła się po kiszkach bez ich naruszenia; że potem cała usilność na to ma być łożona, ażeby zmniejszyć gorączkę. Nakoniec zostawił lekarstwa, obiecując przyjechać nazajutrz, a chorego do jutra porucił staraniom ojca Kleofasa, zalecając mu szczególnie, żeby na wypadek odzyskania przytomności, nie dopuszczał choremu mówić, gdyż tylko największa spokojność może zdrowie wrócić w podobnych przypadkach. Generał z nadzwyczajnem wzruszeniem przyjął tę wiadomość; zaraz umyślnego posłał, żeby zawrócić pana wojskiego, gdzie go znajdzie.

Starosta blisko dwóch dób leżał bez przytomności, nakoniec zdało mu się, że z twardego snu się przebudził. Otworzył oczy: nie wiedział, gdzie się znajduje, a wszystko tak było pomieszané w jego umyśle, że wątku wynaleźć nie umiał. Otworzył oczy jeszcze więcej, skupia ile możności myśli swoje, czuje wrażenie światła migającej lampy, zastanawia się nieco rozważniej nad sobą. Cóż spostrzega? Oto dwie niewiasty. Jedna z nich, siedząc naprzeciw niego, ma głowę opartą o stół i zdaje się drzemać; druga, stojąc przy łóżku, zdaje się śledzić każde jego poruszenie. Wpatruje się w ten przedmiot, natęża osłabione siły umysłu, by sobie wytłómaczyć to widziadło: zdaje mu się, że anioł zbłądził ku niemu. Przeciera oczy, przebóg! poznaje Zosię.

— Siostró — odezwał się przytłumionym głosem — tyż to jesteś przy mojem łożu boleści? Czyż zasłużyłem na tę pociechę?

A ona, palec położywszy na ustach, rzekła: — Nie wolno tobie mówić. Ja tu z ciocią przybyłam ciebie pilnować. Myślałam, że o tem nigdy wiedzieć nie będziesz. Ludwiku, cóżes uczynił! Mogłeś tak obojętnie życie swoje narażać i miecz utapiać w łonie tylu osób przywiązanych do ciebie! Przyznaj się, żeś ranę odniósł z rąk mojego brata Wazgirda.

— Skąd-że powzięłaś takowe mniemanie!

— Nikt się tu tego nie domyśla, ale ten okrutnik, żegnając się ze mną, sam dał mi to do poznania. Proszę cię, wyznaj przedemną, jaki był powód waszej niewiści?

— Zofjo, czemu mnie o to pytasz? Twój krewny jest najgodniejszy, najmężniejszy z ludzi. Zginać z podobnej ręki, jest zaszczytem. On zdołał wyczytać w mojem sercu to, co przed sobą samym rad byłem ukryć. Jeżeli mam żal do niego, to za to, że lepiej jeszcze we mnie nie ugodził. Żeby mi był życie odrazu odebrał, ileby nieszczęść mi oszczędził.

— I ty możesz mnie to mówić?

— Tak jest, on przeniknął niecne moje uczucia! Zofjo! już dłużej przed tobą tajemnicy mojego serca ukrywać nie mogę. Wiem, że mówię do narzeczonej mojego brata i dobroczyńcy, wiem, że mną pogardzać będziesz jak nikczemnikiem, ale już na wszystko jestem obojętny. On przeniknął prawdę: kocham cię nad życie, nad sławę, nad powinność.

— Uspokój się, Ludwiku! czy zapomniałeś, do kogo mówisz?

— Zofjo! o wszystkim zapomniałem. Kocham cię aż do szaleństwa, ale cieszę się, że to wyznawszy, już nie będę przeszkodą do szczęścia mojego brata.

Poprzysięgam ci na honor rycerski, że ostatni raz mnie widzisz. Za godzin kilka kończę żywot skolatany. Odrzucę te wszystkie środki, użyte dla wrócenia mi tego zdrowia, którem pogardzam. Mam nadzieję, że litościwa twoja pamięć będzie ci niekiedy przypominać nieszczęśliwego brata, a ta myśl osłodzi ostatnie chwile mojego tchnienia.

— Okrutny, i tybyś sobie życie śmiał odbierać! Ludwiku! ja cię kocham, kocham cię nad wszystko! Żyj, ratuj swoje zdrowie, tego żądam od ciebie! A potem opuść na zawsze te strony. Okażmy się godnymi siebie. Z twojem przybyciem szczęście moje znikło; pozwól, bym przynajmniej sumienie nieskażone do grobu zaniósł. Twój brat zostanie moim mężem, a tę wiarę, którą w mojem imieniu mój ojciec mu przyrzekł, którą mu przyobiecałam, nieskazitelnie dochowam. Kocham cię, jeszcze raz tobie to powtarzam, bo wiem, że szlachetność twoich uczuć nie pozwoli tobie nadużywać mojej szczerości. Żegnam cię, i rozkazuję ci żyć; twoje posłuszeństwo przekona mnie, żeś mnie prawdziwie kochał. Już mi się nie godzi po tem wyznaniu dłużej z tobą pozostać.

To wyrzekłszy, lekkim poruszeniem za ramię obudziła łowczankę i obie na palcach wychodząc, znikły z przed oczów Ludwika.

Starosta pozostał jakby z zachwyceniem. Umysł boleścią ciała osłabiony, a dopiero wystawiony na takie poruszenia, długi czas nie mógł się upewnić, czy to zjawisko było rzeczywiste, czy tylko marzone. Ale ten głos srebrzysty, który wyrzekł: kocham, kocham ciebie nad wszystko, ciągle tętniał w jego uszach. Był kochanym, i cóż więcej go obchodzić mogło? Resztę nocy

oka nie mógł zmrużyć. Czuł coś jakby boleść, coś jakby pragnienie, ale już nie miał samopoznania własnych uczuć.

Gdy oczy otworzył, ujrzał mieszkańców niewodowskich otaczających jego łóżko. Był generał, był brat jego wojski, byli księża, był i Buńczukiewicz. Kobiet tylko nie było. Wojski za rękę prowadził felczera, który znalazł, że wszystko idzie dobrze, tylko że gorączka jeszcze silna. Ci zacni ludzie ledwo mu spoczywać dawali, tak go zajmowali staraniem i uprzejmością.

Tak upłynęło dni kilka, w których znacznie zdrowie starosty poprawiać się zaczęło. Już mógł o swojej sile siedzieć w łóżku, mógł nawet pisać, i oczekiwał z niecierpliwością chwili, w której mu lekarz przynajmniej po pokoju przechadzać się pozwoli.

Starosta szybkim krokiem wracał do zdrowia, ale, o ile siła fizyczna w nim się wzmagala, o tyle jego stan moralny coraz silniejsze mu przynosił udręczenia. Póki trwała jego niemoc, widok Zosi w gronie otaczających jego łóżko przyjaciół dawał mu czuć błogość, przerywaną często przez zgryzoty, jakie oznaki przywiązania wojskiego w jego sumieniu wzniewały. Ale ta błogość była tak wielką, iż ze strachem przewidywał, że lada dzień wypadnie mu opuścić ten dom, do którego ścian sercem już był przykuty. Miłość, jakiej podobnej nigdy nie doświadczał, i wyrzuty sumienia taką walkę w nim sobie wypowiedziały, że wszelki hart duszy już był utracił. Bez uczuć religijnych, które jedne są zdolne ocalić czerstwość duszy w jej walce z namiętnościami, przywykły żadnego oporu nie stawiać pociągom, których doświadczał, — w czynieniu zadość namiętnościom swoim widząc owszem największe szczeście, jakie czło-

wieka spotkać może, dziwić się trzeba dobroci jego natury, że jeszcze mógł doświadczać wyrzutów sumienia. Gdyby roztropny i prawdziwie cnotliwy przyjaciel, wyczytawszy w sercu jego, był mu podał rękę, kto wie? może szlachetna jego dusza, gorzkim ale zbawczym napojem podanym ręką przyjaźni pokrzepiona, byłaby zdolną wykonać wielkie ofiary. Ale na nieszczęście, głos przyjaźni, tak niezbędny, tak pożądany w utrapieniu, wychodził dla niego z ust najniebezpieczniejszych. Kasztelanowa, siostrzenica generała, a przyjaciółka Ludwika z Warszawy, która właśnie była zjechała do Niewodowa, była osobą jaknajmniej zdolną do wzbudzenia w sercu przyjaciela w niej ufego przedsięwzięć rozsądnie obmyślanych, a energicznie dokonanych. Nie stała w miłości, wierna w przyjaźni, szczerze przekonana była, że silne przywiązanie wszystko usprawiedliwia, że nawet niewolno jemu się opierać. Przyjaciółka Ludwika, szczerze przywiązana do Zosi, widziała w ich połączeniu jakąś harmonję, która ją czarowała, i wierzyła, że ma świętą powinność to połączenie zawiązać. W niem bowiem upatrywała szczęście dwóch osób jej drogich, a wszystko temu przekonaniu ustąpić musiało.

Jeszcze Ludwik zupełnego zwycięstwa nie był odniósł nad boleścią, która go do łóżka przykuła, jeszcze nie mógł przechadzać się nawet po izbie, kiedy po długim śnie, obudziwszy się, ujrzał siedzącą na łóżku swoim kasztelanową, która śledziła jego poruszenia. Kasztelanowa, wzięwszy go za rękę, rzekła:

— Ludwiku, ja wszystko przeniknęłam, ja wiem o wszystkim. Ty kochasz Zosię, kochasz ją, jakeś nigdy w całym życiu twojem nie kochał nikogo. Ta miłość już jest przeznaczeniem twojego żywota.

— Ona jest zaręczona z bratem moim, ona jest jego najdroższym skarbem, i ja miałbym myśleć o niej, miałbym dopuścić się tej zbrodni!

— Ludwiku, piękne i szlachetne uczucie kładzie w usta twoje to, coś wyrzekł, ale uwodzisz siebie, bo są ofiary nad możność ludzką. Jeszcze gdyby ofiara na tobie jednym się skończyła! Uwielbiając twoje poświęcenie, mógłbym cię zachęcać do tak szlachetnego, do tak godnego cię przedsięwzięcia. Ale los Zosi już jest nieodłączny od twojego losu! Ona cię kocha nad życie, nad wszystko. Ludwiku, jeżeli się oddalisz z tych stron, cóż się wtedy zrobi z Zosią? Ona rękę odda wojskiemu, zaprzysięże jemu wiare, myślę nawet, że mu ją dochowa, bo walka długo nie potrwa, ona umrze. Ona tej walki długo nie wytrzyma!

— I cóż mi pozostaje uczynić?

— Nie rozpaczaj, lecz przeniknij się chęcią jej ratunku, Ludwiku! Ja nie pojmuję Michała, że jej tak gorąco pragnie dla siebie. Czyż to jest dla niego żona? On sam siebie uwodzi, on jej kochać nie może. Jest w nim chęć zadość uczynienia woli zmarłego ojca, jest przywiązanie dla generała, posunięte aż do chęci skoli-gacenia się z nim. Ale żeby była miłość dla osoby, z którą skądinąd żadnej styczności nie ma, temu nigdy nie uwierzę. O czemże on z nią mówić będzie? Wierz mi Ludwiku, że biorąc Zosię dla siebie, nietylko że nie zrobisz bratu krzywdy, ale nawet ochronisz go od największego nieszczęścia, od wszelkich następstw nie-dobranego małżeństwa. Ile razy pan Michał przybli-ża się do Zosi, trzeba być zaślepionym, by nie widzieć, co się wówczas z nią robi, jak wyraźnie na jej obliczu maluje się rozpacz i trwoga. Ja ci to mówię: ratuj

Zosię, ratuj brata twojego! On sobie dobierze szlachciankę, która się oborą i przedziwem zatrudniać będzie, która z nim się będzie modlić, i rok w rok, będzie mu rodzić dzieci. A ty, jako uczciwy, myśl o wyratowaniu Zosi. Miłość i honor nałożyły na ciebie ten obowiązek. Jeszcze ci to powtarzam: jeżeli ją opuścisz, jeżeli dozwolisz, żeby została ofiarą obietnicy na niej wymożonej, ona umrze, a ty całe życie mieć to sobie będziesz do wyrzucenia.

Kasztelanowa tak wymownie przekonywała Ludwika, że zaczął się wahać. O wyjeździe z Niewodowa mowy nie było. Nie unikał Zosi. Przeciwnie, ile tylko względy przyzwoitości pozwalały, przebywał z nią razem.

Kasztelanowa przekładała Zosi, że powinna ules miłości i zgodzić się na to, by zerwawszy z Michałem, którego nie kochała, wyjść za ukochanego Ludwika. Atoli Zosia jasno i nieodpornie oświadczała, że choć Ludwika kocha, słowa, danego Michałowi, nie złamie.

Starosta naprawdę tracił głowę. Miłość, a wyrzuty sumienia, to znów pomysły szaleńcze jak na przykład wykradzenia Zosi, dręczyły go gorzej niż poprzednio cierpienie, raną spowodowane.

Od godziny piątej z rana ruch był wielki w zamku Nieświeskim. Liczny dwór, liczniejszy jeszcze orszak przybyłych przyjaciół Radziwiłłowskich, wszystko to się snuło po obszernych salach zamczyska, czekając, kiedy ich ksiązę przywoła, bo wszystko to się zebrało na wielkie łowy, przygotowane w Nalibockiej puszczy. Wszyscy się dziwowali, że tuż tuż szósta dochodziła, a ksiązę, dotąd się nie pokazywał. Zastanawiali się nad tem w milczeniu, kiedy pan Karol Ryś, postawiwszy na kominowym gzymsie wyprózniony kufel, pierwszy się odezwał:

— Cóż to, u stu par djabłów! Szósta dochodzi, a nas nie wołają!

— Chyba pan strażnik nie wiesz — rzekł pan Bonifacy Sołohub — że przed północą przybył umyślny z Warszawy do księcia z jakąś ważną ekspedycją, i bardzo ważną, kiedy aż księcia obudzono. Jakiś to korniarz, nam nieznajomy, a który, papiery wręczywszy księciu, znikł jak kamfora. A ksiązę pan zaraz posłał po pana Bohusza, który odtąd z nim siedzi zamknięty.

Wtem podwoje książecej sypialni się otwarły, i Bukowski, szatny, wszystkich zaprosił do księcia.

Sypialnia księcia była salą obszerną, z podłogą marmurową, wszystkie ściany były w niej gołe, wyjąwszy tej, przy której stało wąziutkie łóżko księcia; bo ta była wybita karmazynową makatą. Sprzętów nie było innych, tylko mnóstwo stołków dębowych, a przy łóżku stał duży stół orzechowy, okrągły, na którym ksiązę skła-

dał, idąc do wczasu, rozmaite rzeczy, co je zwykł przy sobie nosić, jako: dwie pary krócie nabitych, krzesiwko, kilka zegarków, tabakierkę, paciorki kokosowe, sygnet herbowy, spinkę, pugilares, kieskę, szkło do zapalania, nóż składany z kilku klingami, szablę i t. d.; bez tych wszystkich rupieci kroku nie zrobił. Zastali księcia siedzącego w krześle przy stole, a obok niego siedział pan Bohusz i z natężoną uwagą przeziarał jakieś papiery, jedne paląc, a drugie składając w pugilaresie. Książę, wzięwszy głowę w obie ręce, głęboko westchnął i powiedział:

— Niema końca naszym utrapieniom; zaprosiłem was na polowanie, a tu na innego zwierza pójść trzeba. Mój Boże! czy już nigdy pokojem nie będziemy się cieszyć? Panie kochanku, wypada nam na nowo nasze dawne rozpoczynać włóczęgi.

— Zgoda! — odezwali się wszyscy — my z księciem panem pójdziemy, chociażby i pod ziemię.

— Nie, panie kochanku, napróżno tu powstawać. Przeciwnicy nasi zalewają Litwę. Jak się porwiemy, zgniotą nas jak rude myszy! Nam trzeba przedrzeć się na Ukrainę. Turcja obiecuje nam posiłki. Jak słońce zejdzie, stąd wyruszę ku Ukrainie, żeby się przedrzeć do pana Joachima Potockiego, podezaszatego Litewskiego, który na mnie czeka. W trzydzieści koni co najwięcej wyruszę, żeby nie dać podejrzenia o sobie nieprzyjacielskim czatom. Żegnam was, bo za godzinę mniej więcej już mnie stąd wyruszyć trzeba — rzekł książę, a przywoławszy do siebie pana Wazgirda i odprowadziwszy go na stronę, powiedział:

— Panie Janie, posłuchaj mnie z uwagą — trzeba, żebyś Wpan w kilka, lub kilkanaście koni natychmiast

ruszył do Niewodowa i tak rzecz poprowadził, żeby nam koniecznie żywcem dostać tego miłutkiego starostę. Będziemy z niego mieli nielada zakładnika. Jego pan ma tyle do niego przywiązania, że kto wie, może odda za niego senatorów, których za jego wiedzą moskale wywieźli. Tylko spraw mi się gracko i roztropnie. Oj! żebyś mógł dwie pieczenie na jednym rożnie upiec, i tę kasztelanową porządnie różgami oćwiczć, zyskałbyś wielkie odpusty. Lecz z tem mniejsza, a starostę Wieluńskiego staraj się koniecznie uchwycić. Ale już pokazują się pierwsze brzaskiienne! bywajcie zdrowi, panowie bracia. Mnie może dziś jeszcze będą szukać w Nalibockiej puszczy, a ja tymczasem wielkim gościńcem dążyć będę ku wołyńskiemu Polesiu.

Podczas kiedy ksiązę wojewoda, we dwadzieścia koni, żadnym nieobciążony pojazdem, ciągnął ku kijowskiemu Polesiowi, pan Jan Wazgird w szerokich otwartych saniach, ciągniętych przez czwórkę koni, posuwał się traktem mińskim. Siedział zawinięty w delji lisiej, zdobył jego myśliwskich popisów, a obok niego Skołuba, syn czynszowego szlachcica z jego dziedzicznego majątku, który, kilkoma laty od niego starszy wiekiem, od szkół jeszcze był jego nieodstępnyim sługą. Wykonawcz woli pańskiej, najczęściej w żywe oczy ganił swojego pana, zęb za zęb z nim się sprzecajając, a pan Wazgird tak był przyzwyczajony do jego gderania, że gdyby po otrzymanym od niego rozkazie milczał, na samym wstępie zwątpiłby o jego wykonaniu.

Obaj, pan i sługa utonęli w morzu zadumań nad jednym i tymże samym przedmiotem, kiedy przed ich oczyma stanęła karczma, niecierpliwie wyglądana od woźnicy i od koni dobrze potem oblanych, pomimo

mrozu żwawego, zaprawionego kolącym wiatrem: Wtem Skołuba krzyknął raptownie:

— Wszelki duch pana Boga chwali! Wszak to sianie pana wojskiego stoją przed karczmą, oto jego siwosrokate konie i Grzesio z niemi! Pan wojski musi być w gospodzie! Zajeżdżaj prosto w sieni.

Pan Wazgird, skoczywszy z sani jakby z procy, wszedł do izby, i tam zastawszy siedzącego na zydlu pana wojskiego, rzucił się w jego objęcia. Po przywitaniu zaczął z nim rozmowę, ale tak przerywaną, wyrazy tak się z sobą nie kleiły, że wojski z zadziwieniem widząc jakby pomieszanie w człowieku niełatwym do zmieszania się, nie mógł mu nie powiedzieć:

— A co się waćpanu stało, panie Janie? Pleciesz jakieś koszałki opałki, że jedno drugiego się nie trzyma. Prawdziwie waćpana nie pojmuję.

Pan Wazgird, pogłaskawszy sobie czuprynę i nakręciwszy wąsa, na taki się zdobył koncept:

— Takem zziął i zmęczył się podróżą, że do siebie przyjść nie mogę, a mam ci do komunikowania niesłychanie ważne rzeczy. Panie Michale, przenocujmy tu, a jak się ogrzeję i rozgoszczę, z wszystkiego gładko cię objaśnię.

— Cóż to za nowy koncept, panie Janie? Ja mam w karczmie nocować, kiedy jeszcze wieczór się nie zaczął, a przez całą noc prawie księżyc świeci? Ja, choć późną nocą, muszę stanąć w Nieświeżu, wytłómaczyć się przed księciem panem z mojego opóźnienia, a może mi wypadnie szukać go w Nalibokach.

— Ba, ba, ba! Waćpan widzę siedziałeś za górami, że nie wiesz, co się dziś święci w Nieświeżu. Księżę o świcie wyruszył wierzchem aż na Ukrainę, gdzie pod

powagą turecką ma stanąć konfederacja, a na samem odjeźdźnym do waćpana mnie wyprawił, a z czem, o tem się wkrótce dowiesz.

— Jezus Marja! Co waćpan mówisz?

— A ha! Czy na tem koniec? Senatorów porwano w Warszawie i wywieziono Bóg święty wie dokąd! Na wołowej skórze nie zapisać tego wszystkiego, co ci powiem. No, no, bez ceremonji, każ wnieść twój tłóмок. Nie mamy czasu do tracenia!

Pan wojski siedział zdumiony, a pan Wazgird, przybrawszy rolę gospodarza, krzychał to na żyda, to na sługi, a to wszystko dla zubożenia niespokojności, która go trapiła. Jeżeli użyć można tego wyrazu, nastrajał siebie do tych objawień, któremi wkrótce miał rozedrzeć serce przyjaciela. A pan wojski, obojętnie patrząc na rozporządzenia pana Wazgirda, czekał tylko z upragnieniem chwili, w której się z nim doczeka porządniejszej rozmowy. Zapalono na kominie, pan Wazgird usiadł koło wojskiego, ale znowu powstał raptownie i drzwi otworzywszy, krzyknął:

— Skołubo! odegrzej-no bigos, co go z sobą mamy, i powiedz Ickowi, żeby nam pół garnca miodu wytoczył. Wszak prawda, panie Michale? Na sucho źle się rozprawia.

— Dobrze, dobrze, ja waćpanu placu dotrzymam; ale dla miłości Boga zaczynaj, bo mnie trzymasz jak na szpiłkach.

Przyszedł Icko z miodem, Skołuba zastawił stół bigosem, któremu niepospolite świadectwo przyniosły zgłodniałe żołądki naszych podróżnych, a potem obaj przyjaciele, rozebrawszy się i usiadłszy przy gościnnym miodku, wzięli się do dyskursu, ile że pan Wazgird

nie zaniedbał obwarować izby zasunięciem rygla. Nim się miodek wypróżnił, już pan wojski był świadom wszystkich szczegółów, dotyczących się dostojnych jeńców wywiezionych, zamiarów księcia wojewody i panów rady z nim wspólnie działających, a nakoniec dodał pan Wazgird:

— Z waćpana łaski, panie Michale, nie towarzyszę księciu panu w jego podróży. Mojego Skołubę ledwo djabli nie biorą ze złości, że to mi się nie udało, bo szczerze się tego napierałem, ale książe, wiedząc o naszych związkach i że się wkrótce spokrewnić mamy, wyprawił mnie do waćpana z rozkazem. Otóż rozkaz jest, żebyś pana starostę Wieluńskiego porwał i zawiózł do Łachwy, a ja waćpanu asystuję ze wszystkim, co do tego może być potrzebne. Ale zrób to chytrze, mądrze, niby go do Warszawy chcesz odprowadzić, żeby się nie domyślił, że na Łachwę jedzie, a mu tam nie będzie źle, dalibóg! Rzecz o to tylko chodzi, żeby było z czem potargować się z panem stolnikiem Litewskim, azali za niego nie odda naszych senatorów. Co na to powiesz, panie Michale?

— Panie Janie, mój brat wybierał się przed kilku tygodniami do Warszawy i tylko na usilne prośby i moje i generała dzień jeden jeszcze miał się zatrzymać w Niewodowie. Jeżeli swój pobyt przedłużył, to z wypadku, co go omal życiem nie przyplacił, wypadku, o którym tylko tyle wiem dotąd, że widział go bez przytomności, krwią własną oblanego. Do ciebie się odwołuję, czy mi się godzi, sromocąc dom przyszłego teścia, taką zdradę wyrządzić starszemu bratu? Zapytuję ciebie, panie Janie, czy to jest rzecz godziwa?

— Przeciw temu nie nie powiem, panie Michale. Ale jakkolwiekbyś, rozkaz spełnić trzeba.

— Próżne słowa, panie Janie, nietylko, że w tej zdradzie działać nie będę, ale o mil kilka go przeprowadzę, i będę go bronił na wypadek napadu więcej niż samego siebie, chociażbym go miał bronić przeciw waćpanu samemu! Waćpan Boga się nie boisz! To nie chrześcijańska, nie szlachecka rzecz! Jeżeli mam cokolwiek łaski, proszę mi o tem więcej nie mówić!

— Otóż masz! Za moje dobro jeszcze mnie zburczał, a to osobliwszy człowiek! No, panie Michale, kiedy widzę waszeci tak zaciętym, to jak ci powiem jedną rzecz, spodziewam się, że będziesz łatwiejszym do interesu.

— Nigdy!

— Obaczymy!

— Słucham, bo wiem, że nic gorszego mi nie powiesz nad to, com dopiero słyszał.

Tu się zerwał z miejsca pan Wazgird, drzwi otworzył i krzyknął:

— Icko! jeszcze kwartę miodu.

— Co waćpanu się dzieje? — odezwał się pan wojski. — Czy mnie nie chcesz czasem upoić, panie Janie, żeby pijanego na słowo wyciągnąć? Ja już więcej pić nie będę.

— Będziesz pił, będziesz.

Przyniesiono miód, pan Jan powtórnie drzwi zarygłował, nalał dwie szklanki i powiedział:

— No, panie Michale, kochajmy się! A widzisz, że przed tem zdrowiem się nie cofasz!

Poczem, przybliżywszy się do wojskiego, wyciągnął ramię swoje, i oparłszy się na jego ramieniu, powiedział:

— Michale, kolego szkolny, obozowy i sejmikowy, przyjacielu omal nie trzydziestoletni, ty wiesz, że ciebie kocham. W imię naszej starej przyjaźni zaklinam ciebie, byś mnie słuchał cierpliwie. Dajże mi na to rękę, że będziesz bezstronnym, jakim być powinien sędzia, chociażby we własnej sprawie, że się nie będziesz zżywał, ani mnie ofukiwał, ale że cierpliwie mnie do końca wysłuchasz. Dajże mi na to rękę.

— Oto masz ją, Jasiu drogi! Bóg widzi, że polegam na twojej przyjaźni, na twojej uczciwości, wszakżeśmy nie dziś i nie wczoraj się poznali. Mów, wyprowadź mnie z niespokojności. Słucham.

— Mam twoją rękę, śmiało więc mówić będę. Słuchaj! Wiesz, kto pana starostę skaleczył?

— Kto?!

— Ja, ja, i nietylko, że się tego nie wstydzę, ale tego żałuję, że go nie zabił. Nie zrywaj się, Michale! Mam twoje słowo, że spokojnie słuchać będziesz. Pan starosta Wieluński sam wyzna, że wszystko się odbyło uczciwie i prawnie, a że wygrana była przy mnie, tego ani mojej odwadze, ani mojej zręczności nie przypisuję. Zostałem zwycięzcą, bo stanąłem w dobrej sprawie, bo byłem tak czystym na sumieniu, że na armaty poszedłbym spokojnie. Ale pan starosta tego o sobie nie powie. Wie o tem twoja narzeczona, bo ja na odjeźdźnym z Niewodowa jej się przyznałem, i nie bez przyczyny.

— Ach, panie Janie, czemu się tobie Ludwik na raz i jakież miałeś powód nastawać na życie rodzonego brata, twojego najgorliwszego przyjaciela?

— Jaki powód? Oto ten, że on ciebie zdradza, że zapomniawszy o Bogu, że niepamiętny na twoje dobrodziejstwa, gotuje ci hańbę! Ty jego zaufania nie chcesz zawodzić dla ojczyzny, a on twoje sromotnie depecze dla miłości. On twoją Zosię kocha, a co więcej, już ją zbałamucił. Teraz rozumiesz, dlaczego szukałem z nim zaczepki?

— To być nie może, panie Janie! to jest potwarz rzucona na mojego brata i na twoją siostrę! Temu wierzyć nie mogę! Panie Janie, na Boga ciebie zaklinam, nie rób sobie igraszki z mojej duszy, ze sławy mojej przyszłej żony! To być nie może, ja z nimi ciągle byłem w Niewodowie, nic takiego przedemnąby się nie ukryło.

Panie Michale, ty, mój wuj i może księża są ślepi, ale cały Niewodów wie o tem i o tem mówi. Ale czy tylko Niewodów? Cała Litwa to widzi. Twoi przyjaciele od pierwszego do ostatniego to wiedzą i ubolewają nad tobą, a żaden z nich oczu tobie otworzyć nie śmie. Ja śmielszy od innych, bo sława mojej siostry jest moja sławą! Odważyłem się prawdę odkryć przed tobą.

— Wam tak się zdaje, ale to być nie może! Jakże brat podobną myśl mógłby przypuścić? Przekonaj mnie, panie Janie, skąd ty to wiesz? kto ci o tem pierwszy powiedział?

— Ach, panie Michale, co ci mam mówić, kto powiedział? Pytaj, kto nie powiedział? Ja stoję przed tobą jako oskarżyciel, a ty przekonaj się, czy jestem prawym, czy potwarcą. Byłeś chciał, nie łatwiejszego. W Niewodowie bawi pani kasztelanowa Wejherowa, oddawna z panem starostą pokumana. Dziś ona wszystko prowadzi, kto wie, jak daleko rzeczy już zaszły. Zapytaj ludzi. Co to ludzi? Oprócz generała. kto żyw, ściśnij

go, a usłyszysz, co śpiewać będzie. Panie Michale, czy możesz przypuścić, żebym ciebie baśnią chciał turbować, dla Boga żywego! Rzucić podejrzenie na cioteczno-rodzoną siostrę, brata narażać na impet brata? To nie żarty, panie Michale.

— Małoż mój brat ma nieprzyjaciół? Jednak jak sobie niektóre okoliczności przypominam... ale nie, to być nie może, temu nie uwierzę, aż własnymi oczyma się przekonam.

— Zgoda, panie Michale. Przekonaj się. Ale jak się przekonasz, spodziewam się, że nam dopiszesz, i że nam pomożesz zabrać winowajcę. Jutro przed świtem pojedziemy do pana Mateusza Gieczewicza. Stamtąd, upatrzwszy porę, cichaczem puść się do Niewodowa, byle tylko ciebie kasztelanowa nie spodjazdowała. Ty masz doświadczenie, wiesz, jak nici w kłębek się zwiłają, a ja ci dodam Skołubę. Ty go znasz, wiesz, jaki z niego majster.

— Zrobię, co każesz, ale nie w innym celu, tylko żeby ciebie przekonać o niewinności dwóch istot tak dla mnie drogich. Bo to być nie może, to jest piekielna potwarz, w którą daliście siebie uwikłać. Dobra noc, panie Janie, takiego klina mi w głowę zabiłeś, że aż poty zimne na mnie uderzają. Daj mi odpocząć, niech się pomodłę, żeby Bóg mnie natchnął i oświecił, a jutro jadę z tobą, gdzie każesz. Ale słuchaj, panie Janie! Jeżeli, przez zapał obywatelski, na to tylko pobudzasz podejrzenia moje, ażebyś mi pomagał w zamiarze, jaki masz przeciwko mojemu bratu, sumienie swoje nadwężając, chociażby dla dobra kraju, Bóg ciebie za to ciężko skarże! Pamiętaj!

— Jeżeli nieprawdę mówię, niech mnie ukarze, sam tego żądam. Jeżeli to, co ci powiedziałem, nie jest prawdą, to domagam się u pana Boga, żeby na sądnym dniu postawił mnie między poganami, a póki żyję, żeby mnie mieli za podłego! Położę się, ile że jutro przed świtem wyruszyć nam trzeba. Dobrej nocy życzę wacpanu, panie Michale, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków.

VI.

Tuż pan starosta był odzyskał zdrowie, jakkolwiek bladość pozostała zachowywała jeszcze ślady odbytych cierpień. Nietylko, że się przechadzał po dziedzińcu, ale już nawet od kilku dni po godzinie i więcej śpiewał z Zosią i napawał się pochwałami kasztelanowej i domowych Niewodowskich, a jeszcze więcej postępami pojętnej uczennicy. Czuł dobrze, że trzeba mu było oddawna wracać do Warszawy, ale, przykuty sercem do ścian szlacheckiego domu, nie miał dość odwagi, żeby myśl swoją nad tą potrzebą zatrzymywać, ile że ani gospodarz, ani żaden z gości i domowników tego mu nie przypominali. Wszakże w smutnych zamyśleniach, niezbędność wyjazdu często przelotnie przed nim się nasuwała; kasztelanowa odebrała była listy, między niemi był jeden do starosty, więcej niż wszystkie te, które dotąd był odebrał, naglący jego powrót; ale hart

jego duszy już tak był zardzewiał, że go dość obojętnie przeczytał.

Gdy po obiedzie zebrało się towarzystwo w bawialnym pokoju, pań Buńczukiewicz zbliżył się do generała i wręczył mu list przez umyślnego dopiero przywieziony; od kogo, nikt tego nie wiedział, ale można było poznać, że w nim musiało być coś ważnego, bo generał, nałożywszy okulary, ledwo jedną stronę wyczytał, zerwał się z oznakami wielkiej niespokojności i, mrugnawszy na Buńczukiewicza, z nim razem wyniósł się do swojej kancelarji.

Generał powrócił po chwili i tak był poruszony, że wszyscy się zdziwili.

— Straszne rzeczy — odezwał się — straszne rzeczy. Pięknie się popisał waćpana dobrodzieja król, mości starosto! Odbieram właśnie wiadomość o godnej jego sprawie. Oto kazał porwać dwóch biskupów, hetmana i posła, i pod strażą ich wywieźć.

— Mości generale — odezwał się starosta — tu coś się innego pokaże. Nie mogę przypuścić, by król był winnym. Wszystko mu prędzej wyrzucić można, niż gwałtowność.

— Cóż to, ja chłystek, żebym lada czemu wierzył? Jak wół stoi w tem, co do mnie piszą, że bezprawie nad bezprawiami zrobiło się w Warszawie i że zaraz po jego spełnieniu sejmujące stany się rozjechały! Ten, co to pisze, w życiu swoim dla żartu nie skłamał i nie skłamał. Mości starosto dobrodzieju, Bóg świadek, że mam za szczęście i za zaszczyt jego pobyt w moim domu, ale już go teraz zatrzymywać nie śmiem. Wokoło nas wszystko kipi, gotowi na mój domek napaść, żeby panu

staroście, jako przyjacielowi tamtej strony, krzywdę wyrządzić.

— Niech pan generał będzie spokojny! — odezwał się starosta. — Dom jego będzie cały, a niech tylko nie myśli o mojej obronie. Jeżeli kto przybędzie, żeby mnie szukać, postaram się sam, żeby mnie znalazł. Ani przed przyjacielem, ani przed wrogiem nie mam zwyczaju się ukrywać.

— Nie, nie, tak nie będzie! — na to generał. — Mój Buńczukiewicz późną nocą wywiezie pana starostę manowcami. Tylko na wszelki wypadek niech pan starosta weźmie na siebie moją lisiurę i dobrze moją czapkę nasuniecie na uszy.

— Bardzo panu dziękuję — odrzekł starosta z dumnym uśmiechem — za te dowody życzliwości, ale ja kłamać nie umiem. Jakim jestem, takim się pokazuję, i ani mową, ani odzieżą nie przybiorę obcej dla mnie postaci.

— To napróżno — odezwała się kasztelanowa — do tego nie namówicie starosty. Znam hardość jego duszy. Ale ja wszystko na siebie biorę. Widzisz, wujaszku drogi, dziś jeszcze pana starostę wyprawię, a w kilka godzin po nim i ja pojedę. Spodziewam się, że z kobietą wojować nie będą. Tylko proszę wujaszka, żeby nam żadnej straży nie dodawać, bo by nam nie pomogła, a tylko podejrzenie by ściągnęła.

— Rób, co chcesz, nikt ci słówka nie wtrąci, rozkazuje, a wszędzie posłuszeństwo znajdziesz. Jeszcze takiego trzeba nieszczęścia, że pan Michał właśnie wyjechał wczoraj. Ale kto się tego mógł spodziewać?

Starosta na to wszystko zdawał się być obojętnym, siedział zamyślony, nie mieszając się do dyskursu. A

Zosia! Zosia!! — trzeba było tak być zaślepionym jak generał i księża, żeby nie wyczytać w jej twarzy, co się w jej duszy działo.

Kasztelanowa, ułożywszy plan, wykonała go z przezornością kobiety wprawnej do intryg wszelkiego rodzaju, i wykonała go tem łatwiej, że i generał i starosta we wszystkim byli jej posłuszni — pierwszy powodowany wiarą w jej rozum, drugi obojętnością dla wszystkiego, co się do jego osoby odnosiło.

Wkrótce po tej rozmowie ekwipaż starosty zjechał przed ganek. Starosta, ze wszystkimi czule się pożegnawszy, siadł do karety, ale wedle umówionego planu, zajechawszy przed chałupę ogrodnika, z niej się wysunął i przez furkę ogrodową przeprowadzony został do tej części domu, gdzie mieszkały kobiety. I kiedy na wsi i we dworze myślano, że już pan starosta na wielkim gościńcu, jego ludzie dążyli ku Lidzie, a on sam w pokoju kobiecym oczekiwał chwili, kiedy się miał po raz ostatni żegnać z osobą, którą kochał i której wzajemności był pewnym. Dopiero o samej północy miał razem z kasztelanową wyjechać.

Już dziesiąta uderzyła, kiedy weszła kasztelanowa z Zosią i łowczanką.

— Przyznaj, Ludwiku — odezwała się kasztelanowa — że umiem chodzić koło interesów. Oświadczyłam, że jutro o piątej zrana wyjeżdżam. Uprosiłam nawet ojca Kleofasa, żeby o czwartej wyszedł ze mszą, bo z Bogiem pragnę każde moje przedsięwzięcie rozpocząć. Będzie jutro czekał ksiądz wiatru w polu, bo za furką ogrodową przed samą północą będzie moja kareta we wszelkiej gotowości, a my przez ogród do niej trafimy.

— 88 —

Starosta raz jeszcze żądał od Zosi, by zerwała z Michałem, namawiał ją, by zaraz, natychmiast uciekała z nim do Warszawy.

— Okrutny! — zawołała Zosia. — Wzdrygnąłbyś się życie mi odebrać, a nierównie większą krzywdę chcesz mi wyrządzić! Czyż w obliczu tego honoru, do którego się odwołujesz, nie jestem twoją siostrą? Czyż nie zdradzasz twojego brata? Czyż mnie nie nakłaniasz do współnictwa zbrodni?

— Ach, Zofjo! Nie mów tego, że będziesz żoną Michała! W imię honoru zapytuję ciebie, czy możesz mu zaprzysiąc miłość, którą dla innego czujesz? — Czy taka przysięga nie jest zdradą?

— Nie, Ludwiku, nikt nie jest obowiązany działać nad możność! Po moim nieszczęśliwym ślubie z bratem twoim, wszystko mu wyznam. Oddam mu w straż moją sławę, moje zbawienie, a to wyznanie wynagrodzę mu poświęceniem nieograniczonym. Przymuszę go, by mnie szanował, a jeżeli ta walka rychłą śmiercią się zakończy, jeżeli umrę, to przynajmniej umrę siebie godną.

— Piękna myśl — przerwała kasztelanowa. — Jakżeż tyś niezdolna, Zosiu, z swojemi romansowemi myśłami! Kochasz Ldwika, a chcesz być żoną Michała dla tego tylko, że twój ojciec jemu ciebie przyobiecał? Zrobisz z siebie ofiarę, ale jaką? Ty tego nie pojmujesz! Tą ofiarą nawet zgody familijnej nie utrzymasz, chyba, że, o czem nie wątpię, Ludwik do grobu będzie złożony, bo on tego nie przeżyje. Oddać komu serce napiętnowane cudzym obrazem, to ma być rzecz szlachetna, bogobojna, zasługująca na jakieś nadzwyczajne względy u Boga? Zosiu droga, nie odbieraj wszelkiej nadziei temu, co umiera z miłości ku tobie. Patrz, jakie gorzkie

lzy wylewa ten sam, który prawie w obecności twojej strzał śmiertelny przyjął bez zmruczenia oka — i tak to ty jego miłość odpłacasz? Daj słowo, że zwlekać będziesz, że nie pójdziesz za Michała, że chcesz siebie powierzyć czasowi i nam! Nie odbieraj wszelkiej nadziei Ludwikowi, a obaczysz, że to, co ludzie robią, to ludzie i przerobią.

— Ach siostró, do czego ty mnie nakłaniasz? I ty, i Ludwik, i ja sama, wszyscy przeciwko mnie!

— Zofjo! — wykrzyknął Ludwik w największym uniesieniu. — Nie zabijaj mojego szczęścia, zostaw mi choć małą iskierkę nadziei! Czy chcesz, bym w przytomności twojej życie sobie odebrał?

— Zosiu — dodała kasztelanowa — daj się ubłagać. Czyż okrucieństwo, którem przerażasz serce tak szlachetne, tak do ciebie przywiązane, jest cnotą? Czy opór woli Najwyższego jest pobożnością?

— Ach, okrutni! Czegóż po mnie żądacie?

Tu Ludwik padł do nóg Zosi. Ich oczy wzajemnie wlepiły się w siebie wejrzeniem. Zosia pozbawiona przytomności przychyliła się do Ludwika. Ich usta się spotkały, a na tych ustach, zdało się, że ich dusze z sobą się zlały...

Wtem drzwi się rozwarły i wojski stanął przed nimi. — Starosta zerwał się. Zosia wrzasnęła głosem przygłuszonym, chciała coś wymówić, ale słowa zdołowały w jej ustach. Kasztelanowa śmiało się odezwała:

— Czemu mamy przypisać te nawiedziny pana wojskiego o tak późnej porze?

Wojski ją przeszył spojrzeniem tak pełnem pogardy, że go znieść nie mogła, i poniewolnie oczy spuściła. Po chwilach kilku wojski przerwał okropną ciszę:

— Jestem gościem niespodzianym, nieprawda, mości starosto?

Starosta stał osłupiały.

— Michale! — odezwała się Zosia. — Słuchaj!

— Milez! Między nami już odtąd niema nic wspólnego! Ale waćpan, który, nikczemną zdradą nadużywając mojej ufności, odważyłeś się potargać najświętsze obowiązki, waćpan, który mnie w jednej chwili wyzuliś ze wszystkiego, co mnie do życia przywiązywać mogło...

— Bracie! — przerwał starosta — wiem, ile się winnym okazuję przed tobą, jednak posłuchaj, jeszcze się odwołać mogę do twojej sprawiedliwości...

— Przestałeś być moim bratem, jednak wyrzekając się wszystkich związków, które mnie łączyły z tobą i z tą nieszczęśliwą ofiarą twoją i tej podłej kobiety, którą widzę między wami, jeszcze ci ostatnią daję przestrozę: uciekaj, uciekaj najspieszniej, po godzinie już może być za późno — za godzinę możebyś opłacił wszystkie twoje zdrady! Łatwoby mi było pomścić się, ale wolę ciebie zostawić zgryzotom sumienia!

To rzekłszy, Michał oddalił się z pośpiechem.

Już był zniknął, a pozostali jeszcze czas jakiś do siebie przyjść nie mogli. Potok łez wytrysnął z oczu Zosi.

— Ludwiku — odezwała się — uciekaj! Słyszałeś groźną przestrozę twojego brata, zaklinam cię, uciekaj!

— Nie, nie, już rzeczy zaszyły nadto daleko! Zosiu! masz tylko dwie drogi przed sobą: Albo razem ze mną

uciekać, albo być świadkiem haniebną śmierci dla mnie przygotowanej, a którą jednak za największą łaskę przyjmę.

— Ludwiku! Co powiedziałeś?

— Powiedziałem to, co się stać musi. Przysięgam na honor szlachecki, że bez ciebie ani pół kroku nie zrobię.

Milcząca dotąd kasztelanowa odezwała się:

— Ani chwili nie mamy do stracenia. Zosiu, ruszaj z nami przez ogród do chałupy ogrodnika, tam już moja karetka musi czekać, inaczej twój Ludwik będzie wisiał na tym dziedzińcu! Będziesz mogła napawać wzrok twój jego haniebną śmiercią i powiedzieć sobie, żeś go zabiła, bo ja ręczę, że żadna potęga ludzka nie skłoni go do tego, by to miejsce opuścił bez ciebie — i, nie dawszy Zosi czasu do opamiętania się, rzuciła na nią salopę futrem podszytą, wzięła pod rękę, Ludwik wziął ją z drugiej strony, i drżącą, nieprzytomną, więcej martwą niż żywą, powlekli przez ogród do chałupy ogrodnika, gdzie już zastali karetkę kasztelanowej. Tam z największą szybkością do niej wsiedli, usadowili Zosię i cwałem puścili się w drogę.

Okolo pół godziny już leciała karetka ku Kojdanowu, kiedy tętent koni i przeraźliwe krzyki raptownie ich przebudziły. Wkrótce ujrzeni się otoczonymi od hufca zbrojnego. Dowódca tego pocztu krzyknął: — stój! — i przybliżył się do karety. Po głosie i po postawie kasztelanowa poznała Wazgirda. Nie tracąc przytomności, spuściła okno od karety, a zakrywając osobą swoją towarzyszyów podróży, głowę wychyliła i rzekła:

— Co za niespodzianka, kochany kuzynku, i czemu mam przypisać twoje nawiedziny na wielkim trakcie?

— O tem się waćpani zaraz dowiesz, bo i do niej mam osobny interes. Ale niech-no jejmość tak nie zaślania swoich kompanów. Nie chowaj tak swojej głowy, mości starosto, a i pannie generałównie się kłaniam. W dobrem i uczciwem waćpanna towarzystwie, z ludźmi bogobojnymi, bardzo się ucieszy pan generał, jak się o tem dowie. Z przeproszeniem państwa, ich plan musi być nieco odmieniony.

— Cóż to! Waćpan z kobietami wojujesz?

— Moja pocziwa pani, odemnie zaraz weźmiesz różgami i zostaniesz z panną generałówną w karecie, póki ze dworu po was nie przyjadą, bo ja konie zabieram bez ceremonji. Zdadzą się one do czegoś lepszego, niż do wykradania panienek, a pana starostę mam honor prosić z sobą, jest dla niego koń przygotowany. — No, no, niema gadania, zaraz konie odprzęgać!

Ludzie kasztelanowej, jak łagodne baranki, wszystko zrobili, co im Wazgird rozkazał.

— Panie starosto — rozkazywał Wazgird — proszę wysiąść, jeżeli nie życzysz sobie być ściągniętym.

— Pan widzę ludzi bezbronnych na wielkim trakcie napadasz! — rzekł starosta. — Winszuję szlachetnej zabawy.

— Panowie umiecie — odparł Wazgird — we własnych domach mieć i więzić większych panów, niż my obadwa. Pan umiesz wykradać panienki z rodzicielskiego domu i tem odpłacać za gościnność! Będziesz, panie, świadkiem kary, przeznaczonej dla pani kasztelanowej, a co się z panem stanie, o tem się później dowiemy. — Kubusiu, Gerywazeńku i ty Jalutku — roz-

kazał, obracając się do swoich — ~~ciągnąć~~ ^{ciągnąć} ~~mi~~ ^{mi} z koni i wy-
ciągnąć z karety, co tam znajdziecie żywego.

Piorunem skoczyli chłopcy i już zabierali się gospodarować około karety, kiedy Skołuba, zbliżywszy się do swego pana, rzekł:

— A niechno pan obejrzy się w prawo od siebie, ta to chmura jakiegoś wojska pędzi ku nam.

— Ach, do kroć djabłów, prawda! — krzyknął Wazgird. — Na koń bracia, szykuj się do boju!

— Co panu do głowy przystąpiło? — odrzekł Skołuba. — Czy pan oszalał? Nas piętnastu, a tamtego ćma. Noga nasza nie ujdzie! Wygodniej na koniu niż w trumnie, a w lesie niż w dybach. Niech pan na drogę pistoletem poczęstuje pana starostę, a potem w las, za nami się nie puszczą.

— Masz słuszość, Skołubusiu. — Ciąg się w lewo, marsz! — a dobywszy pistolet i, odwiódłszy kurka — jeżeli ciebie żywcem porwać nie mogę, łotrze, krzyknął na starostę, to przynajmniej łeb ci roztrzaskam!

Ale Zosia, odzyskawszy przytomność, rzuciła się na starostę, robiąc mu tarczę ze swojego ciała. Naprawdę chciał ją starosta powoli odepchnąć, ona go tak ramionami zacisnęła, że nie mógł się z nich oswobodzić. Kasztelanowa gwałtu wrzeszczała.

— Panno Zofjo! — krzyczał Wazgird. Puść-że pana starostę, bo ja do waćpanny gotów wypalić! — A to djabeł nie dziewczyna — już ci dziewczyny zabić nie mogę — niechże was trojga wszyscy djabli porwą! Pan Bóg sam wyrzekł, że na waćpana szkoda ładunku; zda się on na nieprzyjaciela, a na zdrajcę stryczek! — To wyrzekłszy, zniknął ze swoimi jak błyskawica.

VII.

Już od lat trzech konfederacja Barska walczyła ze stronnictwem królewskim, a właściwie z Moskalami, którzy króla używali za przykrywkę dla swoich celów. Były czyny wielkie, czyny znakomitej odwagi. Ale w rzeczy samej ścieśniona w kilku województwach Małej Polski, wszystkie jej usiłności, by rozprzestrzenie się po całym kraju, zawiedzione zostały.

Litwa, która stanowiła największą siłę Rzeczypospolitej, lubo dzieci swoje wysyłała ku Karpackim górom dla podsycania hufców konfederackich, ogłocona ze swoich naczelników, była nieczynną. Nakoniec Ogiński, hetman wielki Litewski, porzyszył wszędzie wici hetmańskie, powołujące do pospolitego ruszenia rycerstwo Litewskie, i wkrótce stanął obozem pod Stołowiczami na czele kilku tysięcy szlachty.

Suworow, dowódca wojsk moskiewskich, stał nunczas w Lublinie, skąd miał wyruszyć ku Podgórzowi, by zadać cios ostatni konfederacji Barskiej, gdy nagle, uwiadomiony o powstaniu Litwy, postanowił przemienić plan kampanji. Wyruszył z Lublina ku Litwie, i z tą nadzwyczajną chyżością, która zawsze cechowała jego poruszenia, w dwóch dniach stanął blisko Stołowicz, i o samej północy uderzył na obóz. Nie była to bitwa, bo nie było prawie krwi rozlewu. Porozbieranych, sennych w niewoię zabrał, z całego wojska Litewskiego niespełna czterysta koni, pod dowództwem generała Bielaka, Tatara, zdołało się uratować. Reszta wpada w ręce zwycięzców, lub rozsypała się pojedynczo

po okolicznych lasach. Sam hetman winien był swoje ocalenie poświęceniu się Michała Strawińskiego, który mu podał własnego konia, a sam bezbronny schwytany został. Kasa, ogromne zapasy, bogate sprzęty hetmana i panów pod jego rozkazem będących, wszystko to zostało własnością zwycięzców. Tak konfederacja, rozpoczęta na Litwie, na samym wstępie stłumioną została.

Po tak świetnem i stanowczem zwycięstwie, Suworów czasu nie marnował. Kilkaset żołnierzy zostawił dla utrzymania Litwy w spokojności, a sam, trzy dni odpocząwszy, wrócił do Lublina, żeby stamtąd ścigać Puławskiego, najdzielniejszego z wodzów konfederacji, gdyż on jeden umiał utworzyć jakąś karność w tłumie, złożonym ze szlachty i ich sług domowych.

Kiedy generał Białk zdołał zebrać swój oddział, pan Jan Wazgird i jego Skołuba byli z liczby jego podwładnych. Ledwo kilkaset kroków zrobili, pan Wazgird opatrzył się, że jego drogi przyjaciel, pan wojski, nie był z nimi.

— Skołubo! — powiedział słudze. — Pan wojski na kwaterze hetmańskiej nocował, pewnie musiał wpaść w niewolę. Ruszajże sobie pod Bożą opiekę, żeby go odszukać. A jak go wykradniesz, razem będziecie wiedzieli, gdzie mnie znaleźć.

Skołuba, posłuszny na rozkaz pański, rzucił broń, rozsiadł konia, i oklep odłączył się od pana, jak zwyczajnie masztalerz, a nie konfederat. A miarkując, że jakiś czas upłynie, nim jeńców wyprawia, puścił się do Nieborowszczyzny, do domu pana swojego o mil cztery od Stołowicz. Tam stanąwszy o świcie, przez kilka godzin gospodarował; wszystkie sreberka pańskie upakował w łubianem pudło, opatrzył się w spizarni chlebem

i wędliną, dwugarncową flaszę skórzaną napełnił starą gorzałką; z piwnicy kazał wynieść beczkę stuletniego miodu, którą pan Wazgird strzegł jak oka w głowie, a wybrawszy dwie najlepsze szkapy, jakie mógł wynaleźć w stadninie folwarcznej, zaprzągnął je do wózka niepokąźnego, ale dobrze okutego; na nim ułożył beczkę, pudło i zapas żywności, do tego rydel i siekierę. Wziął w imieniu pańskim kilkaset złotych, należnych za ratę od arendarza. Siadł na obładowany wózek i puścił się w podróż. Wkrótce zanurzył się w puszcę Świtezką, łączącą się z Koldyczowską i Korelicką, puszcę, której od niepamiętnych czasów siekiera nie tknęła, a która rozciągała się ponad wielkim gościńcem. Jak się dostał do puszczy, gdzie tyle lat polując znał każdą drożynę, lepiej może niż niedźwiedzie, których była ojczyzną, był spokojnym, bo wiedział dobrze, że żadna potęga ludzka tam go nie wytropi. Ruszał sobie blisko wielkiego traktu, by niewidziany mógł swoje strategiczne kombinacje do skutku doprowadzić. Pierwszy jego nocleg był w borze, pod rozłożystą lipą, a przy pierwszych brzaskach jutrzeńki, posiliwszy się wódeczką i wędliną, puścił się w drogę. Pod wieczór, ukrywając wózek w gęstwinie i spętawszy konie, odziany w chłopską siermięgę, z chodakami na nogach, wyszedł piechotą na wielki gościniec i zaszedł do karczmy. Tam nabrawszy wiadomości, z których umiał korzystać, wrócił do swojego wózka, i w swojej głównej kwaterze przenocował, a dopiero po wschodzie słońca dogodnym marszem, bo stępą, posunął się dalej, zawsze nie więcej jak o kroków kilkaset od gościńca.

Ujehawszy parę mil litewskich. jakieś widowisko zatrzymało go raptownie. Leżał koń zdechły, a przy

nim spieszony jeździec, porządnie ubrany, który zalałmywał ręce, głośno płakał, i tak był zatopiony w swoim frasunku, że nie spostrzegł zbliżającego się wózka Skołuba, zawsze przezorny, wstrzymał konie, ale pomyślawszy sobie, że to być musi jakiś rozbitek ze Stoliwickiej porażki, tej samej barwy, co i on sam, odezwał się głośno:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, mości płakso!

Młodzieniec zadrżał na głos ludzki, odpowiedział jednak: — Na wieki wieków — i obrócił głowę ku Skołubie.

Skołuba parsknął ze śmiechu: — Klaniem waszeci, mości panie szatny; a co waćpan tu porabiasz?

— Co porabiam, mości panie Skołubo? Trzeci dzień już w gębie kawałka chleba nie miałem. A koń, mniej odemnie wytrzymały, padł, jak waćpan widzisz! Koń pański, na którym z bitwy uszedłem.

— No, no, mości Cesławie Buńczukiewicz, Pan Bóg nas sprowadził jednego dla drugiego, twój pan wzięty, a ja na to posłany, by go odszukać. Cztery oczy, lepiej widzą, niż dwa; a że waćpan głodny, napij się tymczasem wódki. Nie żałuj zęba, mamy chleb i szynkę. A jak się posilimy, trzeba skórę zdjąć z waćpinego konia. W pierwszej karczmie możemy za nią dostać przynajmniej sześć tynfów, i tego szkoda! Ja, odkąd żyję, jeszcze szelaga nie znalazłem na drodze. Do waćpana, panie Cesławie! — i, nachyliwszy flaszę do gardła, oddał mu ją, a pan Cesław, trochę wypiwszy, przytępytał się do szynki.

— A co? — odezwał się Skołuba, jak się najedli — przyznaj się, mój Cesławieńku, że jak mnie poznałeś,

stanąłem tobie jak anioł przy śmierci. Teraz trzeba nar się wziąć do roboty. Myślałem, że panu mojemu do wiozę to pudło ze srebrem; ale nie, rozmyśliłem się, że bezpieczniej je zakopać, a w swojej porze odszukać Waćpan masz rydel, kop-że mi jamę pod tym jesionem a ja się wezmę do zdjęcia skóry, bo ja na to majster.

Zaczęła się robota, i trzeba wyznaczyć, że Cesław, wziął się do niej rzeźko. Jama się wykopała, skóra się zdjęła. Skołuba rzucił skórę na wózek, a łubiane pudło spuścił w jamę, którą ziemią zasypali, a kobylinę ze skóry obdartą zawlekli na zasypaną świeżo ziemię; poczem odezwał się Skołuba, rzucając rydel opodal od siebie:

— Teraz on nam niepotrzebny. Daj Boże, żeby pocziwy człowiek go znalazł; a ty Cesławieńku, rzuć z siebie swoją kapotę nieco za wykwinną i szablę, bo nam tu nie bronią wojować, i buty swoje zzuź bez ceremonji, a nałóż na nogi chodaki. Bez czapki się obejdziesz, bo u mnie drugiej niema.

A wszystkie swoje ubiory trzeba gdzie w gęstwinie rzucić na szczęście komu dobremu. Teraz dążmy tam, gdzie nam nocleg wypada, a jak staniemy na nim, na waćpana zdam konie, a sam wysunę się piechotą na wielki trakt, z dwoma uszami i jednym językiem. A jutro przed zachodem słońca, da Bóg doczekać, staniemy na nocleg w Bortnicach i zajedziemy prosto do karczmy.

— Myśl sobie waćpan, panie Skołubo, bo już ja myśleć nie umiem! A czy mnie powiesz k'sobie, czy od siebie, zrobię, jak każesz.

— Pamiętaj, że odprzęgłem konie, żeby je napoić! Teraz waćpan je zaprzęgnij. O tak, dobrze się bierzesz, aż miło. Do furmaństwa masz zdatność; będziesz

tedy powoził, a ja siądę na wózku. Waszeci oddam lejce, a waszec mi oddasz język. Żebyś nie nie gadał, jak kogo spotkasz, bo słuckiego pasa sobie nie wygadasz, a stryczka jaknajprędzej! Bo jak nas broń Boże poznają, bez ceremonji powieszą, do tego wcześniej się przygotuj.

— Ja mam się odzywać przed ludźmi? Ja ich się teraz tak obawiam, że trzy dni nie jadłem, żeby się z nimi nie spotkać! Żeby nie waćpana łaska, to umarłbym z głodu! A wolę umrzeć z głodu, niż na szubienicy.

— Starajmy się żyć! Ruszaj, a powoli.

I tak pod sterem baczego Skołuby młody Buńczukiewicz powoził wózek, ale takimi krętaninami, że to były wytwory woźniczego kunsztu.

Wędrowali w milczeniu. Czasem spotykali węglarzów. Skołuba z każdym choć parę słów zamienił. Częstował ich tabaką i ofiarował targ na kobyłę skórę. Tak tedy przybyli na jedno miejsce, gdzie były jeszcze szczątki pieca, gdzie przed laty kora brzoźowa w dziegieć się dystylowała. Skołuba kazał się zatrzymać, wokoło się obejrzał i, wyskoczywszy z wózka, powiedział:

— Cesaławienku, jestem w domu! Chociaż wcześniej, jednak tu nocować będziemy. Ja pójdę przed końmi, a waść za mną noga za nogą, bo tu mamy przebyć gęstwiny niepospolite.

I w samej rzeczy, chociaż z niemałym trudem, przeprowadził jednak ekwipaż aż na miejsce odkryte, mające kilkadziesiąt łokci wzdłuż, tyleż wszerek, a zewsząd otoczone gęstwina, ledwo że nie przebyła.

— O, tu będzie nasz nocleg. Do wielkiego gościńca niema nad pół mili, tam jest karczma, nazywa się Wygnanka. Zaraz muszę pójść do niej, a za godzin parę mniej więcej powrócę.

Kiedy Skołuba powrócił do towarzysza podróży, z niemałym zadziwieniem zastał go siedzącym przy ognisku, a płaczącym jak bóbr.

— Dobry wieczór waćpanu! Dobre nowiny, skóra się sprzedała, oto dostaliśmy za nią spory woreczek miedziaków. Jest i tytunik, i nawet z gościńca przynoszę dla waćpana luleczkę. Jutro będziemy w Bortnicach i tam zjedziemy się z komendą, prowadzącą jeńców. Wszystko, o czem wczoraj wiedziałem, dziś się potwierdza. A jutro albo Kapucyn, albo starosta, czy, żeby się jaśniej wytłomaczyć: albo uwolnimy pana wojskiego, albo będziemy wisieć.

— Najprędzej będziemy wisieć.

— Jeżeli tak się stanie, to przynajmniej w dobrej kompanji. Wszak ludzie mówią, że cygan dla kompanji dał się powiesić! A waćpan płaczesz? At! wstydziłbyś się takiego babstwa, panie Cesaławie! Co lzy komu dobrego poradzą?

— Co poradzą? Ani lzy, ani nic nam nie poradzi. Obaczysz waćpan, że wcześniej czy później nie wykręcimy się od szubienicy.

— Co się z waćpanem stało? Pfe! opamiętaj się, Cesaławie! Tać to do szubienicy jeszcze daleko, a gdyby mnie nawet do niej ciągniono, i w takim razie wstydziłbym się płakać.

— No, panie Cesaławie, już słońce dawno zaszło, odmówmy godzinki do Niepokalanego Poczęcia na cześć Najświętszej Panny, orędowniczki naszego szlachectwa,

a potem fajkę w pysk i spać. Waćpan, jak widzę, już wieczerzał, a i jam swoje odbył w karczmie. Przedawszy żydowi skórę za sześć tynfów, porękawicznego dostałem kwaterkę wódki, misę jajecznicy i cztery dzwonka szczupaka, po żydowsku nadzianego cebulą i pieprzykiem, nie wspominając o piwie; czegoż więcej potrzeba poczciwemu człowiekowi? No, „Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę świętą“, — „Zacznijcie opowiadać cześć jej niepojętą“ — wtórzył pan Cesław.

Z łona pustyni podniosły się głosy do Tronu Przedwiecznego. Skołuba, który przez zbytnią ostrożność dotąd cicho mówił, na cały głos intonował pieśń do Matki Boskiej. Ani mu przez myśl przeszło, by, obcując z niebem, jakiegokolwiek ostrożności miał używać przez bojaźń ludzi.

Ledwo jutrzeńka z nocnych cieni zaczęła wydostawać drzew wierzchołki, już Skołuba był na nogach. Z troskliwością doświadczonego człowieka opatrzył konie i uprząż, nucąc sobie: „Kto się w opiekę odda Panu swemu“, poczem konie do wody poprowadził, przedłużając pacierze. Dalej, stojąc przy wózku, przekładał na nim pakunki, patrząc ze szczerym uśmiechem na towarzysza podróży, który po tamtej stronie bryki leżał na ziemi zaspazy.

Skołuba porwał go za rękę i, potrząsnawszy nim całym, jak gruszą dla dostania owoców, rzekł:

— Dzień dobry waćpanu, panie szatny! Wstawaj waćpan! Dziś wszystko dobrze nam pójść powinno, bo na piękny dzień się zanosí. Patrz, jak mgła osiada.

Cesław wytrzeszczył wielkie oczy, ziewnął porządnie, obie ręce wyciągnął, z takim wyprężeniem,

że aż stawy odezwały się z trzaskiem, i zerwał się równemi nogami.

Po skończonem śniadaniu, po upakowaniu wózka, Cesaław, zaprzagłszy konie, siadł na miejscu woźnicy, a Skołuba zajął zaszczytną posadę właściciela. Wędrowali w milczeniu, bo pan szatny już się wprawiał do roli głuchego, co ją miał wygrywać w Bortnicy, a Skołuba niczem się nie chciał odrywać od rozwagi niezbędnej dla sternika. Ciągłe tylko oglądał się wokoło, żeby między tylu krętymi manowcami nie zbłądzić. Tak się posuwając, już byli odbyli jeden popas i od dwóch godzin po południowym obroku przedłużali swój pochód, kiedy od strony gościńca usłyszeli głosy głuche, a między niemi jeden głos donośny, rozkazujący, jednym słowem szlacheecki.

Skołuba kazał stanąć, zszedł z wózka, posłuchał czas niejaki. Kilkanaście kroków gęstwiną przeszedłszy, a zawsze kierując się głosem słyszany, obaczył tabor z kilku ludzi, a z nimi konie juczne i wierzchowe. Między tymi ludźmi stał żyd, a jakiś pan czy podpanek w łosim kaftanie, z szablą w jaszczur oprawną u boku, z ładownicą srebrną na plecach, na niego krzyczał:

— Rozstap się ziemi! mocium panie, przeklęty żydzie, gdzież ta karczma, o której od południa mnie pieciesz? Umieram z głodu! Kteby mi dał kieliszek wódki, byłby moim największym dobrodziejem! Czy długo, żydzie, myślisz mnie morzyć?

— Jaśnie panie — odezwał się żyd — za pół godziny przeprowadzę państwa do Korelicz, tylko co ich nie widać, o tu! — mówił, pokazując ręką od strony wielkiego gościńca.

Po dumnej postawie, po ogromnych wasach, a szczególnie po przysłowiu, Skołuba poznał pana Chłusowicza, chorążego Wołkowyskiego, który był do Stołowicz przyprowadził z sobą, do kilkudziesiąt szlachty i ludzi dworskich, uzbrojonych i na dzielnych koniach. Wysunął się gładko z gęstwiny do swojego wózka; tam w jedną rękę wzięwszy pudło z wiktuałami, w drugą flaszkę skórzaną, z tem stanął pośród dworu pana chorążego.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — krzyknął chorąży na jego widok — a co waść za jeden?

— I ja go chwale, wielmożny chorąży, panie i dobrodzieju.

— Rozstap się ziemio, mocium panie, waść mnie znasz? i mnie się zdaje, że waści gdzieś widział! Kto waść taki?

— Jestem gajowym z Korelickiej puszczy i strzelcem JO. księcia pana.

— Rozstap się ziemio, teraz rozumiem, skąd data naszej znajomości. Czy to ja raz z księciem wojewodą polowałem w waszej puszczy? Witam waści, mocium panie; ja przyjaciel, a waść sługa Radziwiłłowski. My z jednego sklepu! A co to masz waść w rękę?

— Słyszałem, jak wielmożny pan skarżył się, że mu głód dokucza. Niechże wielmożny pan pozwoli słuzić sobie tem, co Bóg dał.

— Rozstap się ziemio, mocium panie, waść poczciwy człowiek, jak widzę. Bylebym się spotkał z księciem panem, moja głowa w tem, żeby waści na podłowczego postąpił. I gorzałkę masz? O, toś mi brat.

Skołuba zapytał chorążego z jakiego wypadku zbił się z wielkiej drogi aż w bezdroże leśne?

— Rozstap się ziemio, mocium panie, a co to waść za górąmi siedział, że mnie o to pytasz? Pięćdziesiąt chłopców na koniach zaprowadziłem do Stołowicz. Ale mocium panie, co poradzisz na zdradę? Rozbili nasz obóz, ja ledwo z tem, co waść widzisz, umknąłem w lasy i piąty dzień w nich się błąkam. Na szczęście spotkaliśmy tego żyda, który ma nas do samych Korelicz przeprowadzić, a ja mu za to obiecałem sto tynfów, jeżeli mnie tam całego doprowadzi.

Skołuba przybliżył się do chorążego i, szepnął:

— Oj! wielmożny panie, coś temu żydowi z oka niedobrze patrzy! Wielmożnego pana ma przeprowadzić do Korelicz, a dąży zupełnie w przeciwną stronę ku wielkiemu traktowi? On wielmożnego pana chce wprowadzić między nieprzyjacielskie komendy.

— Rozstap się ziemio, mocium panie, znowu zdrada! Żydzie, a to waść jesteś szpiegiem, jak widzę?

— Nie, jaśnie panie, ja pocziwy żydek, mnie wszyscy znają, bo ja wszystkim obywatelom służę.

— A gałganie — Skołuba na to — ty niby pana prowadzisz do Korelicz, a czy tam Korelicze? Ty go prosto wabisz do Bortnicy, gdzie dziś jeszcze nieprzyjaciół silny oddział ma stanąć.

— Rozstap się ziemio, dajże ja tobie, niecnoto! Moje dzieci, węćcie tego hultaja i przyczepcie go szyją do gałęzi.

— Co, jaśnie pan żartuje?

— A to się wkrótce dowiesz, mocium panie, czy to są żarty, czy prawda. Waść szpieg, a szubienica jest choroba, na którą szpiegi kończą.

— Gwałtu, jaśnie panie, to on sam szpieg, co w prostej siermiędze chodzi, a wozi jedzenie pańskie.

— Mocium panie, próżne słowa, waść wisieć będziesz! Moje dzieci, oddajcie mu zgrabnie tę ostatnią posługę.

— Gwałtu! ja wszystko powiem, ja nie wiem, gdzie droga do Korelicz, ale jak jaśnie pan chciał dać sto tynfów, ja biedny zid chciałem zarobić! U mnie żona i dzieci.

— Mocium panie, nie naprzykrzaj się.

Zaczął żyd wrzeszczeć tak przeraźliwie, że aż Cesaław przybiegł na ten głos i miał czas przypatrzeć się, jak ludzie chorążego, brzozę pochyliwszy, na jej wierzchołku uczepili żyda za szyję, z tyłu mu ręce związawszy, i brzozę puścili. Żyd się jeszcze długo trzepotał, nim się na koniec uspokoił.

— No, mocium panie gajowy — rzekł pan Chłusowicz — dzień szczęśliwy. Z łaski waści nakarmiłem się, zdradęśmy wykryli i ukarali, dotąd wszystko dobrze. Ale żaden z nas drogi nie wie, a jak waść nas odjedziesz, gdzie my się podziejem?

— Wielmożny pan niech tak zrobi. Ja koniecznie muszę zaraz jechać do Bortnicy, ale choć późną nocą, to jeszcze wrócę. Niech wielmożny pan tu na mnie czeka, a jak będzie zmrok, niech każe dobry stos zapalić, bo noc ciemna. Trzeba, żebym miał się do czego kierować. A jak wrócę, to potem sam wielmożnego pana doprowadzę do Korelicz.

— A na jaką godzinę mam się waści spodziewać?

— Wkrótce po północy.

— A jak nie przybędziesz?

— To wtedy niech wielmożny pan za mnie i za mojego woźnicę, który tu stoi, każe zmówić Anioł Pań-

ski, a jeżeli łaska, da co na mszę! Bo już oba nie będziemy żywi.

— Rozstap się ziemio, mocium panie, z waści desperat, jak widzę. No, ruszaj sobie waść zdrów, a powracaj jeszcze zdrowszy, a jak mnie przeprowadzisz do Korelicz, możesz być spokojnym o swój los, bo już ja o nim pamiętać będę. Ruszajże sobie z Bogiem, panie bracie, a jak się tylko zmierzchnie, ogień będzie rozpalony.

Godzina w zupełności nie upłynęła, a już nietylko Skołuba z Cesaławem dostali się do wielkiego traktu, ale nawet do wsi wjeżdżali. W jej środku stała karczma obszerna, murowana. Był to dzień świetny dla arendarza, gdyż nietylko, że wypróżnił zapas gorzałczyny, ale pokupował za bezcen mnóstwo drogocennych rzeczy, co je ludzie przynosili ze Stołowickiego popłochu.

Kiedy Skołuba wjechał do sieni, arendarz zaczął pytać woźnicy: skąd? dokąd? z kim? Skołuba odpowiedział, że jest gajowym z puszczy księcia wojewody i że wiezie od leśniczego Korelickiego beczkę sytego miodu.

Skołuba i Buńczukiewicz zostawiwszy konie w karczmie, poszli do dworu. Gdy się zbliżali do wsi, na dziedziniec zajechało kilka wozów obładowanych szlachtą, otoczoną kilkunastu kozakami. Poznał Skołuba zdaleka i pana wojskiego, ale mu przez myśl nie przeszło do niego się zbliżyć. Dwudziestu pięciu chłopów z dragami postawiono przy bramie dziedzińca. Dziedziniec był wokoło opasany głębokim rowem. Nie było sposobu wejść do dziedzińca jak przez wrota. Ale obok rowem przedzielone było gumno, napelnione zbożem w snopie, pośród którego stała obszerna stodoła

a dalej trochę śpichrz. Między gumnem a dworem był most zwodzony dla ułatwienia komunikacji, ale ten most od dawnego czasu się nie podnosił, bo łańcuchy były znacznie uszkodzone. Dwór, jak wszystkie rezydencje owych czasów, był prawdziwą forteczką.

Karczmarz tymczasem, chcąc, by mu kozacy jego własnego miodu nie wypili, przyszedł do dworu z wieścią, że u niego w karczmie jest beczka miodu, należąca do jednego z radziwiłłowskich stronników. Kazano mu ją zabrać. Skołuba niby się bronił, niby dać nie chciał, ale co miał robić? Uległ przemocy.

Beczkę przywieziono na dziedziniec. Przyniesiono garniec, nalano szklanki. Kozacy nie mogli się nachwalić. Niknęły szklanka jedna po drugiej ze zdradliwym trunkiem, tak, że godzina nie upłynęła, a już wszyscy byli bez przytomności.

Chłoptwo też rzuciło się do beczki i piło do upadłego.

— A cóż, czy wózek zaprzężony? — spytał Skołuba Cesława.

— Otc go waćpan widzisz.

— Słuchajże, Cesławieńku! Widzisz to gumno za rowem? Oto masz siarkę, krzesiwko i kłaki. Wszyscy z gumna przyszli tu gawronić i pić, więc nikogo w gumnie nie zastaniesz. Idźże tam i podpal snopki, wietrzyk idzie z gumna prosto na dwór. Jak płomień buchnie, kto żywy na wsi, pobiegnie do gumna. A ty, swoje zrobiwszy, zaraz do mnie powracaj.

Cesław oddalił się, a Skołuba dopajał strażników. Już ostatki przytomności były zniknęły w garnizonie, kiedy Cesław przybiegł zadyszany, a wkrótce taki blask uderzył, że chociaż noc była ciemna, na dziedziń-

cu szpilki można było zbierać. Skołuba, ani chwili nie tracąc, siekierą odbił drzwi, rozbudził szlachtę krzycząc:

— Panowie! Panie wojski! Bóg z nami! Uciekajcie! Niema czasu do tracenia! Za mną, panowie, do stajni, tam są konie kozackie, a oto szable niepotrzebnie uczone piona do tych sennych ptaków.

Szlachta rzuciła się do szabel i zaczęli się opasywać; jak piorun wpadli do stajni. Było tam kilku stajennych, ale ci, obudziwszy się, nietylko, że oporu nie czynili, ale sami pomagali kielzać i kulbaczyć. Trzydziestu jeńców dzielnych pokazało się na dziedzińcu, dwudziestu pięciu z szablami, a pięciu ze spisami, bo szabel nie dla wszystkich wystarczyło. Jednomyslnością kolegów pan wojski wziął nad nimi dowództwo i przeprowadził ich za bramę, gdzie jego wierny szatny zjechał ich, siedząc na swoim wózku.

— W którą stronę iść mamy, Skołubusiu? — zapytał wojski.

— Do karczmy za wózkiem — odpowiedział Skołuba. — Trzeba wózek żywnością naładować, bo ze trzy doby iść może wypadnie lasami, gdzie niczego nie dostać, nim się dobijemy do Korelicz, a w lesie nas czekają nasi!

Zbliżając się do karczmy, spostrzegł z radością wznoszącą się łunę z nad lasu. Przed karczmą zastali arendarza, patrzącego na pożar pańskiego gumna.

— Żyździe — rzekł Skołuba — oświadczałeś mi dopiero swoje przywiązanie do księcia wojewody, teraz możesz go dowieść. Zaprzęgaj twoje siwe konie do bryki i naładuj ją owsem.

— Co panowie chcecie? Gdzie u mnie tyle owsa? A te konie nie moje!

— A gałganie! — krzyknął Skołuba, przywitawszy go parę razy nahajką, dopiero zdobyta na Kozaku — niedawnośmy powiesili do ciebie podobnego żyda, i tego, jak widzę, tobie się chce. Tymczasem zapalić mu karczmę.

— Aj! panie, gwałtu! Bierzcie sobie i brykę i konia.

Na rozkaz wojskiego sześciu szlachty zsiadło z konia i poszli za Skołubą i Buńczukiewiczem, którzy szli przodem, trzymając między sobą żyda, żeby im nie uciekł. Zaprzęgli, a czterech z nich poszło na górę zrzucać wory z owsem na brykę. Naładowawszy brykę worami, wyprowadzili ją z sieni.

Szlachta powolnym krokiem ciągnęła ku łunie do-
bywającej się z puszczy.

VIII.

Kiedy już się zbliżali do lasu, wojski kazał jednemu ze szlachty oddać swojego konia Skołubie, a samemu siaść do powożenia bryki, gdyż prowadząc oddział drogami krętymi, i to nocną porą, potrzebował mieć tuż przy sobie przewodnika. Skołuba skoczył na konia, wojski o kilka kroków naprzód jadąc przed oddziałem, kazał mu się zbliżyć i postępować obok siebie.

— Panie wojski, niech-no pan każe kilku panom zsiaść i piechotą iść koło bryki. Bryka żydowska wa-

sko idzie, żeby się czasem nie wywróciła; byłaby bieda nanowo ją ładować. Broń Boże oś się złamie, to i amen, przepadnie owies, a mamy kilkadziesiąt koni do karmienia. A daj Boże, żebyśmy za dwa dni stanęli w Korieliczach.

Teraz niech-no pan każe zaśpiewać pieśń konfederacką; jakoś weselej nam chodzić przy śpiewie. A potem trzeba pamiętać o panu chorążym Wolkowskim, który bardzo za mną musi tęsknić przy swoim ognisku. Jak usłyszysz naszą pieśń, to mu serce ledwo nie wyskoczy z radości.

Na rozkaz wojskiego wszyscy jednym głosem odezwali się:

Stawam na placu z Boga ordynansu,
Rangę porzucam dla nieba wakansu,
Dla wolności ginę — wiary swej nie minę,
Ten jest mój azard.

Jakież było ich zadziwienie, kiedy kilka głosów donośnych, właśnie od strony, skąd ogień oświecał las, odpowiedziały:

Krzyż mi jest tarczą, a zbawienie łupem itd.

Zadziwienie ich było tem większe, że oprócz pana wojskiego, któremu dopiero coś o tem był bąknął Skołuba, żaden nie wiedział, że swoich znajdzie przy tem ognisku. Wtem poznali pana chorążego, zbliżającego się ku nim, na czele kilku jeźdźców.

— A to nasi, rozstap się ziemio, mocium panie! Pozdrawiam was, bracia moi! Przy kim z was jest władza?

Skołuba zabrał głos:

— Pan Michał Strawiński, wojski Słonimski, tu rozkazuje, a wszyscy go słuchają. /

— I ja chcę mu być posłusznym — odpowiedział pan chorąży — rozstąp się ziemi! A to waćpan, panie wojski! Jeszcze żyje konfederacja na Litwie, kiedy my żywi! Zapraszam panów braci do mojego ogniska. — Przyczem wszyscy zsiadli z koni i zaczęli się całować.

Przy gościnnem ognisku chorążego rozstasowała się szlachta obozem. Chociaż nie można było spodziewać się napadu, jednakże wojski, jako wódz przezorny, nie zaniedbał użyć wszelkiej ostrożności. Z ludzi pana chorążego, jako nie zmęczonych pochodem, porozstawiał placówki, ile że oni jedni mieli broń ognistą, czem na każdy wypadek mogli dać ostrzeżenie obozowi. A sam je rozstawiwszy, później po kilkakrotnie sen przerywał, żeby opatrzyć, czy robią swoją powinność, i chorąży do tego mu pomagał.

Zbliżyli się wszyscy do modlitwy wieczornej. Obóz rozdzielił się na dwa chóry. Jednym przewodniczył wojski, drugim chorąży, i na cześć Najświętszej Orodniczki grzeszników, Najjaśniejszej protektorki, zaintonowali pobożne godzinki Niepokalanego Poczęcia. A po odbytych modłach z tą ufnością w Bogu, osiadającą wszystkie zle przygody, na nieco zroszczej ziemi rycerstwo udało się do spoczynku.

Obóz z switem wyruszył do Korelicz, dokąd bez przygód dostał się trzeciego dnia. Tam go spotkało szczęśliwe zdarzenie; pan Paweł Przecławski, cześnik Słonimski, sędziwy starzec, a któremu wiek podeszły nie pozwolił czynnie służyć konfederacji, innego rodzaju poświęceniem wysłużył się ziomkom. Zaraz po Stołowickiej klęsce osiadł w Koreliczach i, zniósłszy się z panem Mikołajem Ancutą, rządcą generalnym tych dóbr

Radziwiłłowskich, ułatwiał blakającym się niedobitkom środki bezpiecznego dostania się do ich domów, zręcznie usuwając przeszkody, jakieby im mogli stawiać stronnicy królewscy i moskale. Tym sposobem i pan chorąży i towarzysze pana wojskiego wrócili do gniazd swoich. Sam wojski w zamiarze złączenia się z konfederacją, walezącą w województwie krakowskiem, sporządził w Koreliczach testament. Majątek, odziedziczony po ojcu, przekazał rodzonemu bratu, przyrodzonemu spadkobiercy, oświadczając, że żadnego przeciw niemu nie zachowuje żalu; że jeżeliby nawet brat względem niego coś przewinił, to mu z całego serca odpuszcza, prosząc go nawzajem o przebaczenie, jeżeliby go w czem obraził, czego sobie jednak nie przypomina. A swojemi kapitałami, jako własną pracą przysporzonemi, rozrządził już nie wedle krwi, ale wedle skłonności własnych. I tak: znaczny legat zrobił panu Janowi Wazgirdowi, niemniej zapisał sumy Dominikanom i Bernardynom Słonimskim, żeby mieli staranie o jego duszy, Skołubie zabezpieczył porządny kęs chleba, nie zapominając ani o Buńczukiewicz, ani o innych sługach. Tak tedy wywiązawszy się z obowiązków, do których się poczuwał jako chrześcijanin, przyjaciel i pan, zaczął się wybierać do podróży.

Wybrał choć niepokąźną, jednak jaknajlepiej opatrzoną brykę ze swej wozowni, do niej kazał zaprząć cztery konie także niepokąźne, ale doświadczone, i opuścił Litwę. Skołuba i Buńczukiewicz naprzemian powozili, już nie ubocznemi drogami, ale wielkim gościńcem Warszawskim.

Już ich tylko kilka mil oddzielało od Warszawy, kiedy zajechali na nocleg do karczmy obszernej, samo-

pas stojącej przy wielkim trakcie. Przy niej było mnóstwo fornałek obładowanych żywnością różnego rodzaju, które nazajutrz miały wyruszyć do Warszawy. Pan wojski w szynkowej izbie zabrał znajomość z podlaskim szlachecciem, który z Warszawą handlował słoniną i miał właśnie z sobą dwie fornałek z tym towarem; za poradą Skołuby, zaprosiwszy szlacheica na kufel piwa, jak zwyczajnie słoniniarz litewski słoniniarza podlaskiego, z dyskursu taką mu zrobił propozycję:

— Panie bracie, jak uważam, jesteśmy z jednego cechu; wyprawilem przed sobą dziesięć fur słoniny, które na mnie czekają na Pradze; waćpan ich masz z sobą dwie: jeżeli mnie je odstąpisz, będzie tuzin okrągły, liczba szczęśliwa, a przy hurcie może i łatwiejsza sprzedaż. Masz waćpan ze mnie kupca.

— Mój mospanie, waćpan, co się także tem bawisz, wiesz z doświadczenia, że my handlarze i koszulę z grzbietu zrzucimy, byle za nią nam dobrze zapłacono. Ja otwarcie powiem, mospanie, że mnie zrzęcniej stąd powracać piechotą do Mordów, gdzie mam kawałek dziedzicznej ziemi, niż z prózną furą iść do domu. Bo jużci, kupując towar, musisz waćpan zabrać i to, co go dostawia, wszak moich dwóch fornałek na swojej bryce waćpan nie zabierzesz.

— I na to zgoda, byle się waćpan nie drożył.

Targ w targ, słoninę kupiono.

Wojski kazał postawić na stole kwartę królewską anyżówki, garniec piwa i misę jajecznicę. Podlasianin swojego czeladnika, wojski swoich dwóch przywołali do stołu, i wszyscy pospołu zaczęli się bawić anyżówką. Wszystko szło gładko, jednak pan Cesław, jako młody, gorzałki przy panu swoim nie pił, tylko piwo, a i tego

nie użył dowoli, gdyż na znak dany jemu od Skołuby, wysunął się za nim do sieni.

— Cesławieńku — powiedział mu Skołuba na osobności — kładnij się zaraz i wyśpij, bo ze świtem na-przód pójdziesz z temi dwoma fornalkami, a my ciebie napędzimy. Dobranoc, ja muszę panu pomagać do trak-towania braci Podlasian.

Przy pierwszych blaskach jutrzeńki biesiadnicy, dobrze podchmieleni, zaprzestali zabawy. Skołuba po-mógł wojskiemu rozebrać się i położyć na bryce, a sam, pamiętny na wszystko, rozbudził Cesława, założył mu nowo kupione konie do fornalek i wyprawił na wielki trakt do Pragi.

Cesław miał przed nimi kilka godzin, ale szedł no-ga za nogą, a brykę ciągnęły konie klusem. Stąd przed wieczorem dopędzili fornalki. Zajechali razem do ży-dowskiego domostwa, ulokowali konie i powóz. Pan wojski, zdawszy na Skołubę sprzedaż swojego towaru, przeszedł piechotą most, łączący Warszawę z Pragę, puścił się Bednarską ulicą do tej stolicy, gdzie lat dwa się uczył, a którą w dzieciństwie opuścił.

Już było po dziesiątej. Wojski nie lękał się ża-dnego spotkania. W Warszawie nie było nikogo z ta-kich, z którymi był w zażyłości, a co się tyczy tych, co ich znał przed laty, on tak był osiwiiał, tak podstarzał, że chyba po wymówieniu swojego nazwiska byłby po-znanym.

Przechodząc mimo kościoła Ś-go Krzyża, przy któ-rym już stało wiele pojazdów, wszedł do kościoła, a sam, ubogo odziany, wmieszał się między rzeczywi-ście ubogich, którzy, klęcząc przed wielkim ołtarzem, ~~bratność i nie~~ ~~ode~~ ~~moż~~ ~~vol~~ ~~składali~~ ~~u~~ ~~nó~~ Tego.

który siebie nazywa ojcem ubogich, a który, przebywając na ziemi, nie miał gdzie głowy położyć dla spoczynku.

Dwóch lokai sążnistych, bogato ubranych, zaczęło lud rozpędzać. Jeden z nich niósł mały kobierzec, drugi składane krzesło. Rozłożyli kobierzec, postawili krzesło. Wojski okiem na nich rzuciwszy, poznał barwę Strawińskich i godło swojego rodu.

Serce zaczęło mu bić gwałtownie, kiedy za nimi obaczył idącą Zosię, którą ubóstwiał, na którą długo patrzył, jak na towarzyszkę żywota daną mu od Boga, a której obraz dotąd w jego sercu nie był zatartym.

Prowadził ją za rękę widać jakiś pan dworu, bo jeszcze młody, a już gwiazda orla białego błyszczała na jego piersiach i oczy jego dumnie rozsiewały pociski na lud ustępujący mu z drogi.

Zosia była piękniejszą, niż kiedykolwiek, i powszechny szmer uwielbienia przywitał ją w całym kościele.

Zosia modliła się szczerze, i czasem łza wydobywała się z jej źrenic i sączyła po jagodach.

Wojski patrzył na modlącą się. Cała krzywda jego stanęła mu w pamięci, jak żywa. Ale nie przeklinał jej, ani brata, i szepnął

— Bądź szczęśliwą, Zosiu! — i spiesźnie wyszedł z kościoła.

Błąkał się po mieście bez celu. Kilka godzin będąc na nogach, nieborak się zmęczył i zabierał się szukać miejsca skromnego, gdzieby się mógł posilić stosownie do swojego powierzchownego ubóstwa, kiedy blisko Kapucyńskiego klasztoru obaczył idącego przed sobą jakiegoś szlachcica w kontusinie wytartej i z sza-

blicą u boku. Zrównawszy się z nim, spostrzegł, że miał wielki kitajkowy plaster na czole. Wszakże szlachcic miał głowę odwróconą w stronę przeciwną, więc wojski nie mógł się przypatrzeć jego twarzy. Upatrywał jakieś podobieństwo z Wazgirdem. Ale to go wstrzymało, że Wazgird miał ogromne wasy, z którymi za nic w świecie-by się nie rozstał. Tak tedy się wahał, kiedy nieznajomy, przyskoczywszy do niego, wziął go pod ramię i cichym głosem szepnął mu w ucho:

— Nieprawda, Michasiu, że niełatwo mnie poznać?

— Ach, to ty, mój drogi Jasiu!

— Gdzież stanąłeś?

— Na Pradze, gdzie twój Skołuba, który mnie oswobodził z utrapienia, sprzedaje moją słoninę. Bo wiesz, że zostałem handlarzem na to tylko, żeby do was prędzej trafić.

— Powiedźże mi, Michasiu, jakież są w tej chwili twoje zamiary?

— Oto cierpię głód, bo obiegłem nogami ledwo nie całą Warszawę. Szukam skromnego obiadku, stosownego do mojej odzieży.

— Ja ciebie proszę na obiad.

— A dokąd?

— Do siebie. Kwateruję i stołuję się od trzech dni u starej wdowy, z której synem koleguję. Jej syn, to poczciwy konfederat. Dał on mi list do swojej matki. A jaka poczciwa babina!

Stanąwszy pod kamienicą, poleźli aż pod strych, gdzie otworzywszy drzwi, pan Wazgird powitał staruszkę:

— Moja jejmość, przedstawuję waćpani mojego dawnego przyjaciela, poczciwego jak ja Litwina, który

handlując słoniną pierwszy raz do waszej Warszawy, zawitał. Zaprosiłem go na obiad do jejmości. Niechże jejmość się stara, żeby nie wstał głodnym.

Staruszka, nisko się ukloniwszy, otworzyła szafę, z niej wyjęła sztof gorzałki i talerz szynki, to postawiła na stole okrytym chędogo bielizną, a sama wyszła zastawić obiad już gotowy.

Wojski opowiedział szczegóły prawie cudownego swojego oswobodzenia, dalej pochód przez bory, nim się dostał do Korelicz, i nie zapomniał o podróży swojej do Warszawy.

— A co! mój Skołuba czy nie zuch? Tęgo mi się popisał!

— Pokochałem go jak przyjaciela.

— A czemu się nie pytasz, gdzie się podziały moje wąsy, co to ich cała Litwa zazdrościła, którychbym za dygnitarstwo nie oddał? Wszak ty wiesz, panie Michale, że dwa razy niemi uszy okręcałem! Kiedyż to się ja ich znowu dohodzi? A jednak złożyłem te wąsy, ten skarb mój, na ołtarzu ojczyzny.

— Nie uwierzysz, w jaką ciekawość mnie wprowadzasz.

— Oto generalność postanowiła wezwać króla do siebie, żeby sam stanął na czele konfederacji, z groźbą, że jeżeli nie stanie, odsądzony będzie od korony. Ale cóż? trzeba mu pozew położyć, i to we własne ręce, jako królowi. Tobie o tem nie mówić, bo prawo umiesz na pamięć.

— Cóż dalej?

— Poczekaj! Pan Puławski zebrał nas z dziesiątek, ale takich, których odwagi doświadczył, i taką zaśpiewał antyfongę: — Panowie bracia, kto z was chce

się podjąć ten papier oddać w rękę królowi? Ale tego przed wami tać nie mogę, że jeżeli go złapią, ten swój krok gardłem przyplacić może.

— Ja biorę to na siebie — odezwałem się.

Pan Puławski serdecznie mnie uściskał i dał mi instrukcję, a nawet na piśmie spis obywateli, do których po drodze miałem zajeżdżać. Jak się pokazuje, po wszystkich województwach szlachta nie sprzyja panu stolnikowi, ani królowi, ani tymbardziej moskalom. Ale jak widzisz, musiałem wasy ogolić, bo bym niemi wzrok ludzki ściągnął, a moją podwójną kresę na czole zakryłem czarnym plastrem.

— Wszystko to dobrze, panie Janie! Tylko cała rzecz idzie o to, żebyś miał trzech świadków szlachty, jak pozew królowi położysz. Ja się lepiej od waćpana sprawię, ja pozew królowi położę, a będę miał was trzech świadków z rodowitej szlachty: ciebie, Skotubę i Buńczukiewicza. Wmieszany między pospółstwem, wręczę królowi pozew, niby jako prośbę, a wy, jeżeli mnie porwą, uciekajcie co tchu do swoich, żeby relację zeznać z tego, coście słyszeli i widzieli.

— Ja miałbym ciebie narażać?

— Tu nie chodzi ani o mnie, ani o ciebie, ale o to, żeby wola generalności spełnioną była. Jako obywatel, domagam się tego od waćpana, a żebyś się mnie nie sprzeciwiał.

— Ty masz odemnie więcej rozumu, panie Michale, winienem tobie ustąpić. Ale pamiętaj, że jeżeli król, odebrawszy twój pozew, a nie przeczytawszy, odda go w ręce swojego szambelana, ty wmieszaj się w pospółstwo i ruszaj piechotą do Falent, o pół mili od rogatek

Jerozolimskich, do tamecznego plebana, dokąd i my trafimy. A on nam ułatwi odwrót, w tem jego głowa.

— Niema czasu do tracenia! Dla Boga, daj mi pióro, kałamarz, i trzy arkusze papieru, żebym dla nas spisał odpisy pozwów.

Wazgird przyniósł mu, co było potrzebnem, wojski zasiadł i z wprawą doświadczonego prawnika w przeciągu godziny na trzy ręce napisał pozew. Jeden z nich wręczył Wazgirdowi, a dwa odpisy i sam pozew oryginalny schował w kieszeń kapoty. Poczem odezwał się:

— Panie Janie, dziś jeszcze musisz mi zrobić jedną wielką łaskę.

— Rozkaż.

— Dziś w kościele św. Krzyża widziałem moją bratową.

— Nie mianuj jej tak, panie Michale, bo się wstydzę, że ją ktoś mieć może za moją siostrę! Ale przynajmniej nigdy jej widzieć nie będę.

— Dziś jeszcze musisz z nią pomówić.

— Do tego żadna potęga ludzka mnie nie skłoni.

— Potęga nie, ale przyjaźń do tego ciebie zobowiąże. Dla mnie to musisz zrobić. Ona była ze mną zaręczona, oto jest obrączka, co z jej rąk w przytomności tylu świadków i twojej odebrałem. Nie zwróciwszy mi znaku mojej obietnicy, nie odebrawszy swojego, innemu wiarę przysięgła i odważyła się przed Bogiem wyrzec, że nikomu nie ślubowała małżeńskiej wiary. Idźże więc do niej, oddaj jej ten pierścionek i poproś o zwrot mojego, żeby już jej nie mnie nie przypominało. Powiedz jej, że ją uwalniam od dotrzymania danego mi słowa i że jej z serca wszystko odpuszczam.

— Gdzież ona mieszka?

— Mają swój własny pałac za Żelazną Bramą. Ja przed pałac sam ciebie zaprowadzę i tam pożegnam, bo trzeba mnie spieszyć na Pragę, ażeby się przygotować do jutrzejszej wyprawy.

To wyrzekłszy, wziął przyjaciela pod rękę i obaj wyszli na ulicę.

Pan Wazgird przed samą bramą pałacu spotkał starca wychodzącego z dziedzińca. Starzec trzymał w ręku zawiniątko: przechodząc około Wazgirda, nisko się uklonił i chciał iść dalej, ale ten go zatrzymał.

— A skąd to idziesz, dobry staruszk?

— Od mojej dobrodziejki, wielmożny panie, od JW. pani starościny Wieluńskiej, niech ją Bóg błogosławi! Oto w tem zawinięciu mam bieliznę, którą dopiero z jej łaski otrzymałem, żeby okryć moją żonę. Biedną kalekę, od dziewięciu lat paraliżem rażoną. Ale niech waćpan idzie, kędy ja chodzę, bo choć wielmożny pan szlachcic, jak widzę po jego szabli, ale z przeproszeniem honoru pańskiego, po wytartym kontuszu sędzę, że waćpan nie najlepiej się masz.

— No, no, mój kochany, czy ubogi, czy bogaty, tobie nic do tego. Ażebyś nie miał do mnie żalu, zem ci darmo trochę czasu uchwycił, masz srebrny grosz, który możesz przepić za moje zdrowie.

To wyrzekłszy, prosto poszedł do pałacu, nie oglądając się na opasłego szwajcara. Puścił się temi schodami, które widział przed sobą, ale że szwajcar już był zadzwonił, zastał podwoje od przedpokoju otwarte, a przy nich stojących kilku lokajów.

— Czy pani starościna w domu? — zapytał lokaj, patrząc na nich z góry.

— A waćpan jaki masz do niej interes? — zapytał jeden z lokajów.

— To do ciebie nie należy. Ja sam z nią o interesie, jaki mam, pomówię, a ty mnie do swojej pani zaprowadź.

Lokaje na siebie spojrzeli; jeden z nich, najwyższy, wzrostem, odezwał się:

— Trzeba wprzód, żeby pan zameldował, co waćpan jesteś za jeden i czego żadasz, a dopiero wróciwszy, powiem waćpanu, czy przyjmuje lub nie.

— Melduj trutniów do ciebie podobnych! Zaraz mi otwórz, hultaju!

Lokaje salon otworzyli.

Poszedł więc, drzwi po drzwiach otwierając przed sobą, przez obszerne salony, które przepychem ubrania bynajmniej go nie zastanowiły, aż natrafił na drzwi ze środka zamknięte i do nich zaczął szturmować. Otworzyły się, i jakaś młoda dziewczyna stanęła na progu i skromnie zapytała, czego żąda i jak ma go mianować przed panią swoją?

— Moja panno, bo domyślam się, że musisz być pokojówką pani starościny, jestem szlachcicem litewskim. Proszę oświadczyć swojej pani, że mam do niej ważny interes, tyczący się jej samej, a że dłużej kwadransu pozostać nie mogę.

Pokojówka zniknęła, a wkrótce sama pani się pokazała.

Jakkolwiek Wazgird był przeciwko siostrze uprzedzony, w jej obliczu, w jej spojrzeniu było coś tak łagodnego, tak wprasającego się do życzliwości, że mu raptem serce zmiękło.

— Czy pani mnie poznajesz? — odezwał się.

Po głosie starościna go poznała.

— Ach! To ty, kochany braciszku! Jakie szczęście dla mnie, że mogę cię przyjąć w moim domu. Spodziewam się, że pokąd zabawisz w Warszawie, ten dom będziesz uważał jako swój i od tego zaczniesz, że się do nas przeniesiesz.

— Nie mnie piąć się do waszego towarzystwa. Żeby mnie tu spotkał pan starosta, wątpię, by jej życzliwość dla mnie pochwalił.

— I owszem, i owszem, braciszku, nie znasz mego męża. Omal nie zginął z twojej ręki, a jednak nie tylko że przeciwko tobie nie zachowuje niechęci, ale wspomina ciebie zawsze z największym szacunkiem, a ty nie przestajesz być jego nieprzyjacielem?

— Jestem przyjacielem pana Michała i nim być nigdy nie przestanę. Wolę przystąpić do interesu, bo czas upływa. — Oto jest pierścień, coś go dała Michałowi. Zwracam go pani z rozkazu Michała, który po to umyślnie mnie tu przysłał, i oświadczam jej w jego imieniu, że, zwracając go do rąk, z których wyszedł, rozgrzesza ją z krzywdy jemu wyrządzonej, że najmniejszego żalu do was obu nie zachowuje, że wszystko z całego serca wam odpuszcza, że wszelkiej pomyślności wam życzy. To mnie wyraźnie powiedział, a wiesz, co znaczy jego słowo. Prosi o zwrot pierścienia, co dał wzamian tego, co go teraz odsyła, żeby on waćpani już żadnego wyrzutu nie czynił.

Starościna, wzięwszy pierścionelek, wyszła, ale wkrótce wróciła z pierścieniem wojskiego.

— Bracie — rzekła starościna — oddaję ci ten pierścień. Bóg nas słyszy, na jego wielkie imię poprzysię-

gam, że nie jestem tak winną jak myślisz. Może już tak mną pogardzasz, że i ta moja przysięga nie zastępuje na twoją wiarę; ale winnam tobie wyznać, że jakkolwiek serce moje nie było zdolne oprzeć się Ludwikowi, z poświęceniem mojego szczęścia chciałam być godną siebie, godną mojego ojca. Żegnałam Ludwika na zawsze, kiedy Michał zastał brata klęczącego przedemną; byłam nieprzytomną; ale byłam niewinną. Ale czemżebym mogła jego przekonać o mojej niewinności? Michał mówić do siebie nie pozwolił. Wyszedł, a co się później ze mną stało, co ze mną zrobiono, o tem nie wiedziałam. Oddaj, bracie, ten pierścień Michałowi i powiedz mu... — tu łzy, jak dwa strumienie puściły się z jej źrenic, i Wazgirdowi łzy stanęły w oczach. Wtem drzwi raptownie się rozwarły i jakiś pan w sukni haftowanej, z wstęgą błękitną stanął przed nimi.

— Jestem przysłany do niej od jej męża, żeby ją uwiadomić, by pani dziś go nie czekała, bo król na cały dzień zatrzymuje go u siebie. Pani płaczesz, pierścionek? Jakaś tajemnica?

— Mości księżę — odpowiedziała starościna poważnie, łzy chustą otarłszy — dotąd księciu nie dałam prawa ani wglądać w moje postęпки, ani wchodzić do mnie bez mojego pozwolenia.

— Chyba od tego mości pana się dowiem czegoś. — Co waś za jeden?

— Szlachcic równy panu urodzeniem — odparł Wazgird.

— Czy wiesz, z kim mówisz?

— Nie wiem i w to nie wchodzę, a to mu powiem, że zaszczytam się łaską i przyjaźnią większych od niego panów.

— Naprzykład — odpowiedział książę z przekąsem — czy znasz wielu panów, coby wyższymi byli od rodzonego brata waszego króla?

— Mości książę, jako szlachcic, mogę być jutro tem, czem dziś jest Najjaśniejszy brat waszej książęcej mości.

— Mości szlachcicu na zagrodzie, równy wojewodzie, wiesz, że gdyby nie uszanowanie, jakie mam dla tej damy, mógłbym waści nauczyć uszanowania, jakie mi się należy.

— Mości książę, ostrożnie z groźbami — odrzekł Wazgird — noszę przy sobie to, co już mnie nie od jednego niebezpieczeństwa zasłoniło. A chociaż nie mam zaszczytu być bratem królewskim, jeszcze się taki nie urodził, któremubym dał się pokrzywdzić.

Tu starościna wzięła brata za rękę i, zaprowadzwszy go do swojego pokoju, przed nim stanęła na progu i, dumnie mierząc księcia okiem pełnym gniewu:

— Mości książę — rzekła — nie przystoi mi dłużej pozostać z gościem, który w mojej przytomności śmie się zapominać aż do obrażania moich przyjaciół. Jestem najniższą sługą waszej książęcej mości, a dalsze księcia postęпки oświecą mnie, czy mogę nadal go przyjmować uprzejmie w domu moim jak dotąd bywało, czyli raz na zawsze unikać jego towarzystwa.

To wyrzekłszy, zamknęła za sobą drzwi swojego apartamentu, zostawując księcia skonfudowanego i nie wiedzącego, co ma z sobą zrobić.

IX.

Nazajutrz około jedenastej przed południem był wielki zgiek przed Fara. Każdy chciał oglądać króla wracającego ze mszy do swoich komnat. Wielu było widać szlachty; u niektórych wyglądały rogi od suplik z poza kontusza; wielu było rzemieślników, między nimi i artyści, a najwięcej było tych brukowych próżniaków, zawsze i wszędzie weiskających się, gdzie tylko spostrzegać się daje tłum ludzi. Stanisław lubił przyjmować prośby publicznie. Tem wygrywał rolę panującego, bo prośby podane jemu były wyznaniem jego panowania nad tymi, którym niedawno był równym. A lubo proszący rzadko kiedy otrzymywał skutek w żądaniu swoim, król każdego umiał pocieszać jedwabnymi słowy.

W tym tłumie wciśnięci byli Wazgird, Skołuba i Buńczukiewicz, ale jeden odosobniony od drugiego. Pierwszy, trudniejszy niż kiedykolwiek do poznania, bo w niemieckim stroju, z peruką gęstą, upudrowaną i zakrywającą jego osobliwszą kresę. Dwaj inni w kapotach, jak zwyczajnie służebna szlachta. Żaden z nich z oka nie spuszczał wojskiego, który, naprzód wysunięty, odziany w kurtkę i szarawary zielone, stał pod kruchtą kościoła, trzymając w rękę papier złożony.

[Wtem okrzyki:

— Niech żyje król! — wznoszące się z całego tłumu, oznajmiły ukazanie się królewskie.

Król stanął na krużganku, a za nim szambelani, adjutanci bokowi, dworzanie i niektórych dworów posłowie.

Zbliżyła się naprzód do niego jakaś młoda i przystojna kobieta, a ta do nóg mu upadłszy, oddała suplikę. Uważano, że król, papier szybko przebiegłszy oczyma, pocieszał ją łagodnemi słowy i ten papier wręczył stojącemu za sobą szambelanowi Gintowtowi w dniu tym będącemu na służbie.

Wielu innych z kolei podawało mu supliki. Niektóre odczytywał, inne, nie czytając, oddawał szambelanowi ale z każdym mniej więcej rozmawiał, nikogo bez jakiejś nadziei nie zrywając. Wszakże widać było, że już nieco był zmęczony, jedno a jedno powtarzając, kiedy wojski, przybliżywszy się, klęknął przed królem, oddając mu papier.

Król go zapytał łagodnie, co on za jeden i czego żąda.

— Szlachcie, poddany i sługa waszej królewskiej mości — odpowiedział wojski. — Nazywam się Poraj, i tuzin lat służąc za gajowego w Białowieskiej puszczy, od lat trzech dosłużyłem się podleśniczostwa; teraz, nie wiem z jakiego powodu, oddalił mię dyrektor ekonomji Białowieskiej. O nic nie proszę, tylko o zrobienie dochodzenia, bo siebie nie mogę obwinić. Wiem, że indagacja przekona o mojej niewinności, i mam nadzieję, że i nadal jeść będę smaczny chleb mojego miłościwego pana.

Tych słów słyszeć nie mogli Wazgird, Skołuba i Buńczukiewicz, ale pojąć łatwo, jak gwałtownie serca im bić musiały, kiedy król, z wojskim mówiąc, suplikę w rękę obracał, i jaka była ich radość, gdy obaczyli, że nie otwierając, wręczył ją szambelanowi, róg w niej zagiąwszy.

Wojski natychmiast utonął w pospólstwie, by stamtąd dostać się do plebanji Falentowskiej, gdzie towarzysze jego mieli z nim się złączyć i dokąd w nocy jeszcze Skołuba był zawiózł jego brykę.

Król, poważnie z orszakiem go otaczającym powrócił do swojego pomieszkania. Po mszy zawsze się przebierał. Przechodził przez obszerny pokój, garderobę nazwaną, gdzie zastawał pełno domowników i obywateli, radech codziennie ukłonem powitać Najjaśniejszego Pana.

W dniu tym król był nadzwyczaj wesoły, bo kurjer z zagranicy przywiózł mu listy, których z niecierpliwością oczekiwał.

Król był promienistym, gdy do gabinetu przechodził przez garderobę. Kilka figur przybyłych z prowincji powitał najuprzejmiej, każdej z nich rzucając słowa za serce chwytające.

Gdy przez garderobę przeszedł do gabinetu, tam go oczekiwał fryzjer angielszy Philipsborn.

Było wiele dworzan w gabinecie, bo król zwyczajnie fryzował się w asystencji, a obracając na to około dwóch godzin, te godziny przepędzał często w uczonych rozmowach, nawet kazał sobie czytać coś z nowości przysłanych z Paryża.

Dnia tego było więcej przytomnych niż zwykle.

Król siedział w krześle, trzymając ręczne zwierciadło, w którym często się przeglądał. Szambelan Gintowt rozkładał pliki suplik, w dniu tym podanych królowi, na stolik opodal od królewskiego krzesła postawiony, przy którym usiadłszy, starannie wypisywał treść odebranych suplik, by je potem przelożył królowi.

Rozmawiano wesoło. Nagle Gintowt raptownie zerwał się ze stołka, a w rękę trzymając jakiś papier, przybliżył się do króla w największem pomieszaniu, tak, że król mu powiedział:

— A co to się stało z waćpanem, mości szambelanie, że jesteś jakby zdjęty z krzyża?

— Okropność, Najjaśniejszy Panie, zgroza! Między suplikami jakiś bezecnik, jakiś potwór, śmiał wcisnąć paszkwil przeciwko Waszej Królewskiej Mości.

— Czy wierszami? — rzekł król, uśmiechając się. — Jeżeli paszkwil dowcipny, nabawimy się nim. Jeżeli sprawiedliwy, będziemy się starali z niego korzystać.

— Gdzież tam wierszami! — odrzekł szambelan. — Ni mniej, ni więcej, tylko pozew, we wszelkiej formie położony Waszej Królewskiej Mości, żebyś się stawiał osobiście przed konfederacją.

Król porwał papier z rąk pana Gintowta i zaczął go czytać cicho. Spostrzegł, że pobladł. Nie skończywszy czytania, wstał silnie poruszony i zaczął się przechadzać po gabinecie.

Król posłał natychmiast po marszałka nadwornego koronnego, przy którym była policja miejska.

Król miał nadzieję za pomocą margrabi Wielkopolskiego, marszałka nadwornego, i swoich stronników popułałych odkryć winowajcę. I jeżeli tem się zajmował z taką gorliwością, to nie dlatego, żeby był poduszczony żądzą zemsty, ale że był przekonany, iż jakiś obszerne spisek knuł się przeciw niemu, i podejrzewał, że do niego wpływały niektóre otaczające go osoby — gdyż będąc sam dość bojaźliwego serca, nie mógł przypuścić,

by ktoś siebie tak dalece zaryzykował, nie licząc na jakieś poplecznictwo, skore do dania mu ratunku.

Wojski ledwo miał czas przedstawić się księdzu i jemu podziękować, bo ksiądz sam ich napędzał, by natychmiast wyjechali, gdyż lada chwila może być pogoń za nimi.

Jakoż w samej rzeczy, jak zaczęto brać na rozum u dworu, kto mógł podać królowi suplikę, pan Gintowt przypomniał sobie, że był jakiś podleśniczy Białowiejskiej puszczy, w kurtce zielonej, który mówił z królem o interesie swoim, jakoby nadal chciał wrócić do posady, którą był utracił, i że o to doprasza się w swojej suplice. A że tej supliki nie stawało, więc wątpić nie można było, że zamiast jej, pozew wręczył królowi.

Rozesłano opis mniej więcej dokładny jego powierchowności, a kruki marszałkowskie i agenci policji tajnej biegali po Warszawie z taką pilnością, że to długo nie mogło się utaić.

Stracono w Warszawie nadzieję dostania winowajcy; usiłowano tylko odkryć jego rzeczywiste nazwisko. Ale i to było trudne, gdyż chyba w obozach konfederacji możnaby było o tem się dowiedzieć, a przystęp do tych obozów był niepodobny; konfederaci byli ostrożni. Gdziekolwiek jaki oddział konfederacji Barskiej się znajdował, a do niego się przybliżył szlachcic, jeżeli między konfederatami nie znajdował kilku poręczycieli, jako szpieg do pierwszej gałęzi był uczepiony za szyję.

Kiedy więc nasi przyjaciele tyle narobili kłopotu w stolicy, oni sami, zajeżdżając od komina do komina, stosownie do instrukcji danej Wazgirdowi, wesolo dążyli do Częstochowy.

Jakkolwiek szczęśliwie wysunęli się byli z Warszawy, jakkolwiek uprzejmie byli przyjęci, gdzie tylko po drodze wstępowali, jeszcze nie byli w zupełnem bezpieczeństwie. Mogli po drodze być napadniętymi przez jaki oddział wojsk moskiewskich.

Dopiero pod Szkalmierzem, spotkawszy komendę pana Zaremby, jednego z dzielniejszych wodzów konfederacji, mieli siebie za zupełnie bezpiecznych i stamtąd udali się do Częstochowy.

Wazgird, Wojski i Skołuba, dotarłszy do Częstochowy, zastali starszyznę konfederacji zgębioną i przybitą.

Niepodobna było taić przed sobą, że już konfederacja Barska dogorywała.

Powołana do życia przez najlepszych ludzi w Polsce, którzy spokojnem sercem patrzeć nie mogli na to, jak Moskal rządził się w kraju, jak u siebie, gnębił lud, porywał i więził szlachtę, ba, senatorów — ginęła ona przez króla i jego stronników, tejże Moskwie zaprzędanych.

Jedyny widziano ratunek: zmusić króla, by się z konfederacją połączył, zmusić, porywając go, gwałtem stawiając na czele patryjotycznego ruchu.

Wątpliwości nie podpada, że wszystko jaknajroztropniej było obmyślane, by pożądaný skutek otrzymać.

Wojska nie było w Warszawie, prócz gwardji pieszej i pułku Mirowskich, na których król nie wiele mógł rachować, gdyż połowa tego pułku, jeszcze w początku konfederacji, podmówioną będąc przez rotmistrza tegoż pułku, pana Franciszka Dzierżanowskiego, przeszła na tamtą stronę. Jedyny poczet, na którego wierność król mógł się spuszczać, była chorągiew królewska, stojąca

w Warszawie pod dowództwem pana starosty Wieluńskiego, który sam ją zreorganizował świeżo, za co mianowany został generał-majorem.

Wszakże kilkadziesiąt koni, i to rozsypanych po mieście, nie było to rzeczą tak straszną, by było niepodobnem porwanie znienacka króla, nocną porą, w mieście nieoświeconem, którego już o dziewiątej w wieczór ulice były puste.

Nasi Litwini, razem się trzymając na jednej bryce, którą Skołuba powoził, podróż swoją odbywali opatrzeni we wszystkie świadectwa potrzebne, żeby nigdzie nikt ich nie zatrzymał.

Dzień 17 Listopada został naznaczony na uwieszenie króla, a to z tego powodu: król od lat kilku był w obojętności z wujem swoim, księciem kanclerzem; ale obu stron przyjaciele tyle zabiegami swojemi okazali, że się nakoniec do siebie zbliżyli. Książę kanclerz pierwsze kroki zrobił do zgody i dwa razy był u najjaśniejszego siostrzeńca: ale będąc podeszłego wieku, zdrowia nadwątłego, zachorował, a król postanowił nawiedzić go dnia 17 i cały wieczór z nim sam na sam przepędzić.

Ten zamiar królewski był tajemnicą, lecz żadna tajemnica w tym dworze zachować się nie mogła.

Już w wigilję tego dnia pani wojewodzina o tem była uwiadomiona, i stosownie do tego plan ułożył pan Łukawski, który był wodzem wyprawy.

On, wojski, Kosiński i czwarty żołnierz, powiernik Łukawskiego, w którego odwadze największe pokładał zaufanie, tegoż dnia od samego rana mieli się ukryć w Warszawie. W nocy mieli napaść na powracającego króla od wuja do zamku, posadzić go na konia luźnego, z nim przejść rogatkę i stanąć w karczmie, gdzie Waz-

gird i Skołuba przypoczyć mieli w szesnaście koni i razem króla mieli zaprowadzić do Częstochowy. Wykradłszy króla około północy, ledwo zrana-by się opatrzone w mieście; więc kilka godzin mając przed sobą, pochlebiali sobie, że ujdą manowcami do celu podróży.

Napróżno Wazgird się domagał, by go nie oddzielano od wojskiego. Pan Łukawski, jemu zdawszy dowództwo oddziału, co miał przyjść na ich spotkanie, od swego nie odstąpił; a że pan Puławski rozkazał im wszystkim być posłusznymi panu Łukawskiemu, pan Wazgird nie śmiał się sprzeciwić.

X.

Dnia 17 Listopada, między dziesiątą a jedenastą zrana, pan starosta Wieluński w szlafroku siedział na kanapie w gabinecie swoim. Popijał herbatę stojącą na stoliku przy kanapie, na którym leżało kilka arkuszy papieru zapisanego i kilka gazet zagranicznych, kiedy jego żona weszła do gabinetu.

Była to rzecz wychodząca ze zwyczajnego trybu jej życia, gdyż ona nigdy nie wchodziła do jego pracowni.

Starosta powstał, zrobił kilka kroków naprzeciw żonie, w rękę ją pocałował i posadził koło siebie, mówiąc:

— Co za szczęście niespodziane prowadzi ciebie, aniele drogi, do mojego pokoju? Droga Zofjo, powiedz, czego żadasz, czego ci nie dostaje, czem mogę rozegnać

twoje troski? Wszystko poświęcę, byle żadna chmurka pogody żywota twojego nie zasępiła. Powiedz, czy w moich postępkach widzisz co do poprawienia? Mów, a natychmiast wola twoja spełnioną zostanie.

— Ludwiku, jeżeli mnie umiesz kochać, jeżeli moja spokojność ci jest drogą, opuść Warszawę, opuść ten zgiełk zdradliwy wielkiego świata! Mamy znaczne dobra na Litwie, mamy tylu poddanych do uszczęśliwienia, mamy krewnych, sąsiadów, którzy teraz źle nas wspominają, żyjąc między nimi, starajmy się zdobyć ich życzliwość. Ja jestem wieśniaczką, mnie ten świat wielki zrazu się podobał, ale już mi tak obrzydł, że bez jakiegoś przymusu w nim żyć nie mogę. Towarzystwo tutejsze, jego rozmowy, jego zabawy, te bezczelne zaloty mężczyzn, te bezczelniejsze rady kobiet, wszystko to dla mnie nieznośne. Ty ubiegasz się za dostojestwami, za błyskotkami dworu, a chcesz, bym wierzyła, że tobie wystarczam?

— Zofjo — odezwał się Ludwik, przysięgam tobie, że po zebraniu się sejmu, który jeden wyleczyć zdoła rany ojczyźnie zadane, zaraz opuszczę i dwór i stolicę! Pojadę z tobą za granicę. Niechaj w Paryżu pochlubię się moim aniołem, niech Zofja tak zaćmi piękności paryskie, jak zaćmiła warszawskie. Ale niedługo tam się zatrzymamy; powrócimy i osiadziemy na wsi, gdzie od-tąd dla siebie będziemy żyli. Czy w mojej ojcowiznie, czy w twoich dobrach, gdzie rozkażesz, wystawię pałacyk wiejski; sami doglądać będziemy jego budowy. Jak go zamieszkamy, objadę z tobą całe sąsiedztwo i sproszę do siebie. Zaprzyjaźnię się z twoimi krewnymi, z obywatelstwem powiatu. Będziemy gospodarowali, założymy ogród angielski, zwierzyniec, cieplarnię, a na-

dewszystko będziemy się trudnili wychowaniem naszej córeczki, która będzie taka piękna jak ty, moje kochanie. A może Bóg nas pobłogosławi i dalszem potomstwem; nieprawda, moja Zosiu? — a tym pocieszającym wyrazom nowych pieszczot przydawał.

— Ludwiku miły, ach kiedyż my tę obrzydłą stolicę opuścimy?...

— Jeszcze ci powtarzam, że po zwołaniu sejmu już tylko dla siebie żyć będziemy. Dziś więc zupełnie jestem twoim, o krok cię nie odstąpię.

Zofja znowu rzuciła się w jego objęcia i nowemi pieszczoty wyraziła wdzięczność za powolność męża. Wyrwała się raptownie z jego uścisków, zniknęła, ale po chwilach kilku wróciła, córeczkę przynosząc mężowi. I ojciec i matka płakali z radości! Jakże szczęśliwymi się czuli!

Zosia się ubrała, żeby towarzyszyć Ludwikowi, który przywdział mundur kawalerji narodowej, tak złobiący jego rycerską piękność. Sam żonę powoził, a lokaj w bogatej delji stał za saniami.

Przybywszy do koszar, starosta oddał lejce lokajowi, a sam, lekko wyskoczywszy, wziął żonę w obie ręce i postawił ją na ziemię.

Towarzystwo chorągwi wybiegło przyjmować swego wodza, a na widok żony powstał szmer uwielbienia. Pierwszy raz żonę swoją im przedstawił i tem do reszty ich zawojował.

Kiedy wszedł z nią do stajni, żeby zrobić przegląd koni, stary chorąży powiedział staroście:

— Panie generale, woli pan do nas sam przybywać, bo mnie potrzeba panu konie pokazywać, a nie sposób oczu odwrócić od pani generalowej.

Zosia, zarumieniwszy się, oczy spuściła i kwefem twarz swoją zakryła, z wielkim żalem i chorążego i wszystkich wojaków.

Starosta rzucił na wszystko okiem doświadczonego znawcy. Oświadczył chorążemu zadowolenie swoje i zalecił mu, żeby połowa chorągwi zawsze była w pogotowiu do siadania na koniu, na każde zawołanie, gdyż żyjąc w czasie niespokojnym, co chwila mogą być powołani.

Na znak, że rad był z tego, co widział, starosta dla towarzystwa chorągwi dał asygnację do swojej piwnicy na sześćdziesiąt butelek wina i powrócił z żoną do siebie, zabawiwszy w koszarach więcej godziny, a cała chorągiew uradowana pożegnała go okrzykiem:

— Niech żyje nasz dobry generał! Niech żyje nasza piękna generałowa!

Powróciwszy z koszar, zastali u siebie liczne towarzystwo. Zosia roztaczała wdzięki i promieniała z niej radość, gdyż nie długo już miała wrócić do siebie, do ukochanej wsi.

Spożywano kolację, gdy posłaniec dworski oznajmił, że król wzywa do siebie natychmiast pana Starostę.

Ludwik, przybliżywszy się do żony, powiedział jej z cicha:

— Dotrzymałem tobie słowa, aniele mój drogi! Cały dzień o krok ciebie nie odstępiałem. Teraz muszę pobiec do króla, a ty staraj się gości bawić do mojego powrotu — i, to mówiąc, czule ją pocałował w rękę i w czoło.

Kiedy towarzystwo ruszyło do tańca, on przeciwniegiem drzwiami poszedł do swojej chorągwi, a tak ubrany kazał się zawieźć do ujazdowskich koszar, gdzie stał zawsze dla niego przygotowany koń wierzchowy.

O małe pół mili od marymonckich rogatek stała karczma do starostwa warszawskiego należąca. Gospodarzem był niejaki Kieść, podżyły Kaszuba.

Kieść o niczem nie myślał, tylko o pomnożeniu swojej brzęczaczki, która też niemało się wzmagala. Jednak dziesiątek lat szynkując, obliczył, że choć szynkarzowi może być nieźle bez gospodyni, wszakże daleko bezpieczniej z gospodynią, i zaczął przemyśliwać, gdzieby to sobie wybrać towarzyszkę szynkarskiego żywota. Nakoniec w jednej garkuchni na Elektoralnej ulicy, natrafił na dziewczynę młodą, rażną, przystojną, która była oswojona ze wszystkimi tajemnicami szynkarstwa. Kieścia to nie zraziło, że była w zaloty hojną, bo z wielkiem swoim zbudowaniem zauważył, że dla żołnierzy, zawsze gołych z powołania, była srogą jak lwica, ale dla lokai wielce przystępną, jeżeli zwłaszcza w możliwych domach usługiwali. Rzecz pewna, że niejednen z nich więcej talarków na nią przeumizgał, niż przepił na korzyść jej pryncypalki. Pieniądz lub cenny fant zaraz zmiękczał jej serce, i tak była pod tym względem powszechnie znana, że skoro kto nie miał dla niej talarka, ani się kusił jakimś przymileniem skłonić ku sobie jej przelotne afekta. Względem pieniędzy tak była oszczędna, że uzbierała sobie trochę talarków w swojej skrzynce, i nie było dnia, żeby jaki talar przylizysz nie pomnażał ich kwoty. Kieść pomyślał sobie:

— Choć liczę lat pięćdziesiąt siedem, ale jestem zdrow. Mnie potrzeba żony, a to właśnie gospodyni

dla mnie: ładniutka, ściagać będzie ochotników do mojej szynkowni. Prawda, że umizgalska, ale kuta na cztery nogi; na swoje umizgi nic z domu nie wyniesie, jeszcze z nich będzie przybytek. Ona pójdzie za mnie, bo ma rozum, wie, że u mnie grosz jest: to wyraźnie dla mnie stworzone.

Tak pomyślawszy, zaczepił ją dość obcesowo w szynku, ale że powszechnie było wiadomo, że dla przypodobania się wszystkim pięknościom świata nie zdobyłyby się na ofiarę jednego talarka, Jewka pogardliwym wzrokiem jego umizg w perzynę obróciła.

— Słuchaj, Jewko, mnie nie to, co myślisz, w głowie. Mnie nie umizgów, ale żony potrzeba. Chcesz być moją? Będiesz panią, gospodynią u mnie. To zdaje mi się coś lepszego, niż służyć w szynku, choćby na Elektoralnej ulicy.

— Czy pan Kieś żartuje, czy doprawdy? — odezwała się Jewka, spuszczaając oczy.

— Ja? broń Boże, ja żartować nie umiem. Chcesz, dobrze, nie chcesz, drugie dobrze.

— Może pan Kieś jest gwałtowny, jak mu przyjdzie zazdrość do głowy?

— Ja mam być zazdrośny? a pfe, duszeczko! Za kogo ty mnie bierzesz? Czy to ja się żenię dla cackania się z tobą?

— Kiedy taka wola Pana Boga, żebym została jego żoną, to cóż robić?

— A więc obudźmy starą i poprośmy ją o błogosławieństwo.

Obudzili babę, jej trochę się zrobiło markotno, bo Jewka bardzo jej była potrzebną, ale rada nierada musiała im dać błogosławieństwo.

Nakoniec nastąpił ślub.

Żyło ze sobą od lat trzech szanowne stadło bardzo przykładnie, bez swarów, bez kłótni. Jeden i ten sam cel mieli oboje: mnożyć pieniądze jak można i skąd można, a o resztę niedbać.

W nocy z 17 na 18 listopada spoczywało małżeństwo w alkierzu, a świeczka przyskajac oświecała izbę. Pacholek i wyrostek spali w stajni, a gospodyni leżała w szynkowni na przypiecku, gotowa na każde zawołanie. Nikt do karczmy nie zawitał, co się rzadko zdarzało. Nie było nic do roboty, dlatego gospodarstwo położyło się wcześniej, niż zazwyczaj; jednak nie spało, tylko wylegało się, bo wątpię, żeby jaki szynkarz lub szynkarka warszawscy w nocy mogli prawdziwie zasnąć.

Kieść raptownie poruszył sąsiadkę:

— Jewciu, odezwał się — Jewciu, coś się zdaje, że gości mamy.

— To się tobie tak przyśniło — odpowiedziała Jewka ziewając — ale nie, stary ma słuch wprawny, do prawdy ktoś stuka w okiennice.

— Otwierajcie, bo do stu par djabłów karczmę każe zapalić! — dał się słyszeć głos chrapliwy, ale donośny.

— Wstawajże, stary hultaju — rzekła Jewka — ruszaj naprzeciw gości i obudź Magdę w szynkowni. Ja tymczasem coś wezmę na siebie.

Kieść nasunął na nogi buty jałowicze, narzucił kożuch i wrota od stajni otworzył.

Czterej jezdni do niej weszli i zsiadli z koni.

— Gdzie jesteśmy? Co to za karczma? — zapytał pan Łukawski, bo nim był ten, który gospodarstwo tak niegrzecznie obudził, a czytelnik już się domyśla, ktc

byli jego towarzysze — powiedz-no, stary, czy daleko stąd do Celinowskiej karczmy?

— Jest to karczma nazwana Bruehlówka, do usług wielmożnego państwa: do Marymonckiego młyna mamy ćwierć mili, a do Celinówki lekka milka. Siakim takim kłusem za trzy kwadranse stanąć można.

— A do stu tysięcy par djabłów, jakże my szkaradnie zbłądzili! No, no, jakoś się odlatamy.

Konie porozstawiano przy żłobie a wszyscy weszli do izby, prowadząc między sobą jakiegoś pana, zawniętego w bogatej szubie, a który ciągle milczał. Już Jewka coś była wzięła na siebie, i już ze zwykłym uśmiechem na uściech, a ze świeczką w ręku, zaczęła się kręcić około swoich gości, każdemu z ukosa w oczy zacierając.

Pan Łukawski towarzysza w bogatej szubie przeprowadził do alkierza i rzekł mu:

— Pan mnie tu poczekaj; na łóżku gospodarskiem spocząć można, i nawet tak życzę, bo wkrótce pojedziemy dalej. Ty, Kuźmo, pilnuj go! Masz pistolet w ręku. Wiesz, jaka twoja powinność na przypadek, gdyby chciał ujść, lub czego się nie spodziewam, gdyby kto chciał mu dopomóc. Z oka go nie spuszczaaj. Zebyś się czasem nie nudził, zostawuję tobie Jaszczułta (tak się nazywał żołnierz zaufany Łukawskiego), a ja z panem Michałem pójdę szukać naszych, i tu ich z sobą przyprowadzimy. — A do Kieścia: — Mości gospodarzu, waść musisz znać wszystkie tutejsze drogi — waść siędziesz na koń i poprowadzisz nas do Celinowskiej karczmy; za to dostaniesz trzy czerwone złote. Tylko się nie wahaj, bo zaraz cię tem poproszę — i pokazał mu rurę

— No, stary — odezwiała się Jewka — trzy czerwone złote z deszczem nie padają. Ruszaj, gdzie pan kaze.

— A cóż mam robić — odpowiedział Kieść — kiedy tak pięknie proszą.

— Do zobaczenia — rzekł pan Łukawski Kosińskiemu i Jaszczułtowi i wyszedł do stajni za Kieściem.

Kieść siadł na konia, toż samo Łukawski i wojski. Było to koło jedenastej w nocy.

Nieznajomy siadł na łóżku. Wkrótce potem powstał, zrzucił bogatą szubę, ukląkł i zaczął się modlić. A Kosiński, z pistoletem w rękę, siedział na skrzynce przy drzwiach, patrząc ciągle na swojego jeńca.

Jaszczułt i Jewka wyszli do izby szynkowej. Jewka zabierała się z nim poznać, ale ledwo się w niego wpatrzyła, przybliżyła świecę do swojej twarzy i krzyknęła:

— Kubusiu! czy już mnie nie poznajesz? czy już tak się zmieniłam od lat czterech?

— Ach, Jewka kochana — odkrzyknął żołnierz, i oboje rzucili się w swoje objęcia.

— Cóż, moja Jewko — zaczął Flicz (bo tak się naprawdę ten żołnierz nazywał, a znał Jewkę jeszcze z dawnych czasów) — wolałaś sobie dobrać gagacika z łysiną i siwym wąsem, niż na mnie czekać. Z tem wszystkim, jak uważam, źle się wam nie dzieje.

— A cóż, zwyczajnie z łaski Pana Boga, jest jakiś grosz, ale szczęścia niewiele.

— Powiedz-że mi, Kubusiu, co to za pan, co w tak bogatej szubie w alkierzu siedzi i nic nie mówi? Co wymyślicie z nim zrobić? — spytała Jewka, bo ją ciekawość paliła.

— O to mnie nie pytaj, to sobie zwyczajnie pan, dobry przyjaciel mojego. A wiesz, duszeczko, żebym coś powiedział, co nie trzeba, to mnie za to mogą poczęstować szubienicą.

— Już ja ciebie pewnie nie zdradzę, Kubo. A czy ty myślisz, że mnie oczy zamydląć można? Ja tylko zukosa okiem rzuciłam, a zaraz poznałam, co to za jeden.

— Kto?

— Oto sam król. Zaraz mnie powiedz, co myślicie z nim zrobić?

— Jeżeli ci mam prawdę powiedzieć, bo już ci przed moją Jewką kłamać nie będę, my go chcemy zaprowadzić do Częstochowy.

— Czyś ty oszalał, Kubo? Króla ciągnąć przeciwko jego woli! A co ty myślisz? Szlachcica zaczepić strach, pana to jeszcze większy strach, a zrobić gwałt królowi, ma na sucho ujsć? W szkaradną rzecz dałeś się zapłatać, Kubusiu, a jeżeli od tego się nie odpłaczesz, wspomnisz moje słowo, że wisieć będziesz. Czy ty wiesz, co to znaczy król? Na takiego się porwać — aż włosy na głowie powstają, aż mrowie po ciele przechodzi. Bywajże zdrów, Kubo, ja uciekam z domu! Dopiero nie szczęście na mnie naprowadziłeś!

— Ale, Jewciu moja, za godzinę najdalej nasi powrócą i nas z sobą zabiorą!

— Ale jaki z ciebie cap, Kubo! Ja głowę daję w zastaw, że jak ty zawczasu o sobie nie pomyślisz, to na to wyjdzie, że król, jak jest, tak będzie królem, a ty w dobrej kompanji nogami dyndać będziesz! Ja ci to mówię.

— A skądże taka przepowiednia?

— Oto stąd, że wy chmyzy, charłaki, a on król, pomazaniec Boży; a posłuchaj-no, co o nim mówią księża z ambony. A czy to go nie święcili w kościele? Ja sama pamiętam, jak wychodził z kościoła, mając złotą koronę na głowie, a na sobie płaszcz karmazynowy, pięknem futerkiem podszyty, a jak to wszystko było mu do twarzy. Miej litość nad sobą, Kubusiu! Ale król czegoż nie może zrobić? On jak zechce, to mój stary rozwód będzie musiał wziąć ze mną, a ty zostaniesz moim mężem. Bo czego nie będziesz miał prawa wyprosić, jak go wyrwiesz z rąk tych oprawców, co ciebie opętali?

— Ale jakże to zrobić, moja Jewko? Bo ty wiesz, że kij ma dwa końce.

— Nie łatwiejszego! Są tu sanki i chabety nasze w stajni. Czyż go nie można zawieźć do Marymonckiego młyna. Oświadczy królowi naszą pomoc, i posłuchajmy, co on na to powie. — On i sobie i nam poradzi.

Flicz kręcił głową, myślał, aż powiada:

— Każ-że, Jewciu, twojemu wyrostkowi założyć chabety do sanek, a ja pójde sprawić się w alkierzu. Tylko nie trać minuty, żeby nasi nie powrócili przed czasem. Dwadzieścia koni, to nie z jednym robota!

XII.

Gdy król, modlitwę skończywszy, łagodnie spojrzał na pilnującego go Kosińskiego, ten doświadczył natychmiast uczucia pomimowolnego uszanowania, do którego przymieszało się coś nakształt bojaźni. Pistolet, co go dotąd w rękę trzymał, położył na skrzynce obok siebie. Gdyby był w towarzystwie kilku, byłby może względem króla zuchwałym, nieczułym, okrutnym, ale, że był sam jeden, że nie było nikogo do podbudzania jego namiętności, uczuł w sobie coś, czego sobie wytłómaczyć nie umiał, ale takiego, że chciałby być o kilkanaście mil od miejsca, gdzie się znajdował.

Król śledził go oczyma, a Kuźma baczył, żeby jego własne oczy nie spotkały się z oczami królewskimi. Czas jakiś trwało milczenie; król je przerwał temi słowy:

— Mości panie, i cóż ze mną myślicie zrobić?

— Nie wiem — odpowiedział Kuźma, zawsze z oczami spuszczone. — Ani przewiduję, co starsi z Najjaśniejszym panem postanowią.

— Powiedz-że, waćpan, co za powód, żeście napadli na waszego króla, na pomazańca Bożego, żeście go gwałtem porwali w środku jego stolicy, i wyrządziliście mu krzywdę, jakiej nie odważyłbym się dopuścić względem najpośledniejszego z moich poddanych?

— Najjaśniejszy panie, co to do mnie należy? Jeżeli w tem co złego, niech się wstydzą ci, co rozkaz dali, a nie ci, co go spełniają.

— Ale, mospanie, nie jesteś niewolnikiem! Będąc szlachcicem, jesteś sędzią spraw narodu! Bez przekonania posłusznym być nie możesz. Zapytuję waćpana, co mi zarzucić można? Jaka jest wina moja, bym ja, panujący, mógł być wyrzuty z opieki prawa, zaręczonej każdemu obywatelowi?

— Oto zarzucają Najjaśniejszemu panu, że z jego łaski obcy żołnierz kraj nasz plądruje, że pokoju nie ma Rzeczpospolita, że obywatel jest zniszczony, gdzie wojna, gdzie głód, gdzie morowem powietrzem, gdzie zbuntowaniem chłopstwem. A że wszystkiego tego złego nie było za nieboszczyka Sasa, tylko to wszystko nastąpiło, odkąd Najjaśniejszy pan zostałeś królem.

— I cóż ja temu winien, mospanie? czym to ja rozkazał ziemi, żeby nie rodziła? czym to ja morowe powietrze wymyślił? czym ja zbuntował chłopstwo ukraińskie, lub rozpoczął wojnę domową? Ileż to nieszczęść na cały kraj spadnie z waszego nierozważnego kroku!

— Mówią także, że Najjaśniejszy pan narzuciłeś siebie przeciwko woli narodu.

— Ja, ja narzuciłem siebie? — rzekł król, powstając i przechadzając się szerokimi krokami po izbie. — Ja siebie narzuciłem! Kłamstwo, potwarz, biorę Boga na świadka, że potwarz. Czy w Woli, wśród tych tłumów szlachty, ze wszystkich województw przybyłej, choć jeden głos był przeciw mnie podniesiony? I cóż mi zarzucić można? Ja mam ręce związane do robienia wam dobrze. Najnędnieszy z moich poddanych ma chwile spokojne; ja jeden w ciągu mojego panowania ani jednej chwili wolnej od zgryzoty nie skosztowałem. Wszystko, co usiłowałem zrobić dla dobra moich poddanych, nieprzyjaciele moi nietylko, że sami te moje

usiłności zniweczyli, ale jeszcze oczernili mnie przed narodem, dla którego jedynie żyję, i same potwarze pobieram w dani.

Tu zaczął łązy obfite wylewać. Kuźma stał jak na szpilkach.

Król zastanowił się i badawczem okiem dośledzał na jego twarzy skutku mowy swej. Kosiński nie był w stanie utaić na niej swoich wrażeń; śmiały w boju aż do wściekłości, w przytomności króla nie mógł przytłumić trwogi, która jakby zimnem żelazem przeszła jego serce. Król już przeczuł zupełne zwycięstwo.

— Waćpan jesteś szlachecciem i katolikiem, musisz miłować Boga i ojczyznę. Czy się domyślasz, jakie będą następstwa waszego nierozważnego kroku? jakie klęski z niego na cały kraj spaść mogą? Czy jest jeden król chrześcijański, coby w krzywdzie mnie wyrządzonej nie czuł zniewagi własnego majestatu? Potoki krwi polskiej nie zdołają ugasić sprawiedliwego gniewu monarchów. Nazwiska wasze przeklęte będą w narodzie.

— Ach, Najjaśniejszy panie, któż o królobójstwie myśli? Takiej szkarady nie można przypuścić. Cała konfederacja wie o tem, że Najjaśniejszy pan jesteś królem! Wszakże w Częstochowie na mszy świętej imię jego jest zawsze wspominane.

— A czyś waćpan zapomniał, jak dopiero ten, który się zdawał starszym między wami, zalecał waćpanu byś na przypadek, żeby się znaleźli tacy, coby o moim ratunku myśleli, we krwi mojej nie wahał się zboczyć? Czyż tego własnymi uszami nie słyszałem?

— Jam temu nic nie winien, Najjaśniejszy panie! Ja swojego nic się nie domyślam, robię tylko to, co pan nunkownik kazał.

— Kto waćpanu śmie dawać rozkazy przeciwko mnie? Kto tu jest starszym, pułkownik czy sam król?

Tu Stanisław August tak spojrział na niego, że Kosiński nie mógł znieść jego oblicza. Dreszcz go przeszedł na wylot, nogi się pod nim zachwiały, chciał coś przemówić, język mu zlodowaciał. Staniał się, nareszcie padł królowi do nóg, zaczął królewskie nogi całować i odezwał się w największem poruszeniu:

— Co każesz, królu, to zrobię, tylko odpuść, com przeciwko tobie zawinił! A jeżeli cię stąd wyprowadzę, Najjaśniejszy panie, żadnej innej nagrody nie żądam, tylko żebym mógł się wynieść z kraju, bo mnie tu już nie siedzieć, iżebym w niczem nie był wmieszany do sprawy, która się z innymi wytoczy.

— Daję waćpanu słowo moje królewskie, że jeżeli postanawiasz opuścić ojczyznę, do śmierci waćpana potrzeby sowicie opatrzone będą i że waćpana imię wspomniane nawet nie będzie w ciągu sprawy, która się wkrótce wytoczy.

Tu drzwi od izby szynkowej się otworzyły a Flicz i Jewka stanęli przed królem. Flicz miał czapkę w ręku, głowę pochyloną, pomieszanie jakieś cała jego postać zdradzała. Ale jakie było jego zadziwienie, kiedy ujrzał Kosińskiego u nóg królewskich. Klęknął Flicz obok towarzysza broni, a Jewka także uklękła.

— Królu — miej litość nad twoim wiernym poddanym! Rozkaż, królu, ja twój! Kiedy pan Kuźma obok mnie klęczy przed tobą, królu, cztery oczy lepiej obaczą niż dwa, a cztery ręce więcej zrobią, niż ja sam jeden z dwoma. No i cóż mam mówić? Jewka powiedziała: — króla słuchaj, a on i sobie i wam poradzi.

— Najjaśniejszy panie — rzekła Jewka, — mój pacholek zaprzągnął już do sanek. Niech król siądzie na nie, a my go zawieziem o ćwierć mili stąd do młynarza Marymonckiego. On całą duszą przywiązany do Najjaśniejszego pana, którego chleb je.

— Moja kochana — odrzekł król, głaszcząc ją po twarzy — ty jesteś ładniutka, a więc nie dziwnego, żeś dobra. O tobie pamiętać będę. Słuchaj, ołówkiem kilka słów napiszę, weź to pismo, powiedział do Flicza, siądziesz na koń, co może wyskoczyć, ruszaj na nim do Warszawy. Panu staroście Wieluńskiemu oddaj karteczkę, którą ci zaraz wręczę, i słuchaj jego rozkazów. Jak mi się dobrze sprawisz, będziesz mieć moją łaskę królewską.

I dobywszy z pugilaresu kawałek papieru, kilka słów na nim napisał, a zgiąwszy papier, oddał Fliczowi.

Flicz siadł na konia i puścił się cwałem do Warszawy. A że już sanki były gotowe, król siadł w tyle, obwinąwszy się w szubę, Kosiński zajął miejsce obok wyrostka powożącego. A Jewka, bojąc się zostać w karczmie, żeby się w niej nie doczekać powrotu konfederatów i nie paść ofiarą ich gniewu, jak obaczą, że król umknął, siadła w nogach królewskich.

XIII

Kieść przeprowadzał pana pułkownika i pana wojskiego do celinowskiej karczmy. Zawierucha była ustała, lecz napotykali często śnieżne zasy, gdzie konie popas brodziły. Podróż była pracowita, ale Kieść, obeznany z okolicą, prowadził dobrze, zagrzany z jednej strony nadzieją nagrody, z drugiej przestraszony groźbą pułkownika.

Podróżni zsiadli z koni i weszli do izby, gdzie znaleźli Wazgirda, Skołubę i kilku żołnierzy.

— Przecie — rzekł pułkownik — złączyliśmy się z sobą. Jak się macie, koledzy? Dobrze, żeście wypoczęli, bo niedługo znowu pójdziem. Króla mamy w rękę.

— Ach! panie pułkowniku — odrzekł Wazgird — dlaczegoś go pan z sobą tu nie przyprowadził?

— Ja sam teraz tego żałuję; ale myślałem sobie: Nuż patrol jaki nas spotka, we czterech trudno i bronić siebie i pilnować kogo, a nie gładko przyjść do ostateczności. Wszak słyszałeś, jak mi powiedziano. — Strzeż Boże waćpana, aby jeden włos mu spadł z głowy. Mamy z sobą dobrego przewodnika, gospodarza z tamtej karczmy.

— Mnie się zdaje — rzekł Wazgird — że lepiej było tam zostawić pana Michała. Bo kto wie? Tamten, jak powiadają o nim, ma być wielkim krasomówcą! Jak zacznie ich plątać jedwabnemi słowy, żeby nam czasem nie skrewili.

— At! co waćpan gadasz? co to? ja swoich ludzi nie znam? Jabym Kuźmie i Jaszczułtowi duszę moją powierzył. No panowie! zawierucha ustała! Waść, mości gospodarzu z Bruehlówki, siadaj na koń i odprowadź nas do swojej rezydencji.

Żołnierstwo wyszło z izby za dowódcą. Kieść na-przód, zawsze pod wodzą pistoletu pułkownika; za nim wszystko wyruszyło w pole.

Wazgird i wojski, puściwszy przed sobą oddział na kilka kroków, cicho zaczęli z sobą rozmawiać.

— Łukawski w boju śmiały i przytomny, byłoby grzechem to mu zaprzeczać. Ale co do rozporządzenia w okolicznościach ważnych, mój Boże, jakaż to słabizna! Pokłada zaufanie w pierwszym lepszym.

— Takowe rozporządzenie zaraz mi się nie podobalo i słyszałeś, com na to powiedział panu Łukawskiemu. Ale z drugiej strony Kuźma i Jaszczułt są tak znani z odwagi swojej, że niepodobna przypuścić, by nas zdradzić mieli.

— Kuźma śmiały, ale cóż z tego, kiedy rabuś, nie bojący się Boga, a Jaszczułt jeszcze gorszy od niego. Jakże na podobnych ludzi się spuszczać?

— Czemu tego nie przedłożyłeś pułkownikowi?

— Boby to na nic się nie przydało. Ja bez najmniejszej nadziei poszedłem na tę wyprawę! Ty sam wiesz o tem, bo dla ciebie nie mam nic tajnego. Już dla nas przeszła pora zwycięstw, a tylko czas ofiar pozostał.

— Czarnym marzeniom się oddajesz, panie Michale; co do mnie, nie tracę jeszcze nadziei. Zapewne, że nie najlepiej nam idzie.

Westchnął Wazgird i w umyśle swoim polecał się Najświętszej Pannie i cicho zaczął odmawiać: „Pod twoją obronę...” I odtąd posuwali się w największem milczeniu. Po niejakiem czasie światło zaczęło migać przed nimi, a Kieść odezwał się do pułkownika:

— Otóż jesteśmy tak dobrze jak w domu. Pan sam przyznać musi, że stary Kieść dobrze się sprawił; wart nagrody, i może jeszcze o jedną łaskę poprosić.

— Czego chcesz? — zapytał pułkownik.

— Oto wielmożny pan widzisz, że ja z państwem, a nie z nieprzyjacielem trzymam. Niechże pańscy ludzie, jak wejdziemy do mojej karczmy, ze mną nie postępują po nieprzyjacielsku.

— A kto pomyślał tobie szkodę robić? O to bądź spokojny.

Kieść umilkł. Już karczma w całej swojej okazałości przed nimi stanęła, pomimo ciemnej nocy, kiedy raptem wyskoczyło naprzeciw nim kilkunastu jeźdźców.

Była to chorągiew królewska, którą pan starosta Wieluński z sobą przyprowadził. Odebrawszy od Jaszczułta wiadomość, że konfederaci powrócić mają do tej karczmy, ażeby zabrać z sobą króla, wszystkie zrobił ku temu przygotowania, żeby ani jeden z oddziału nie mógł się ratować ucieczką. Część chorągwi frontem postawił, resztę za karczmą, żeby obskrzydlić przeciwników. Oddział starosty dał ognia. Kieść jęknął głucho i zleciał z konia. Koń pana Łukawskiego dostał strzał w piersi, powalił się i ciężarem swoim przygniótł jeźdźcę. Napróżno usiłował pan Łukawski wydobyć się z pod niego. Wojski i Wazgird, spostrzegłszy, że na czele chorągwi na nich nacierającej wysuwał się jakiś jeździec na dziwnie dzielnym koniu, we dwóch ra-

zem dali ognia do niego. Starosta, chociaż poczuł uderzenie, dowództwa nie odstąpił, i głosem i przykładem swoich zagrzewał. Wojski, Wazgird i Skołuba usiłowali w kupę ścisnąć swoją garstkę, by tak uderzyć na nieprzyjaciela; ale gdy pod wystrzałami chorągwi królewskiej jeszcze dwóch konfederatów padło, reszta pierzchać zaczęła. Próżne były krzyki Wazgirda i Skołuby, żeby ich zatrzymać.

— Panie Michale — rzekł Wazgird — niema ratunku! Ze wszystkich stron nas okrażają! Prócz nas wszystko uciekło, uciekajmy i my, jeżeli można.

I wszyscy trzej, wcisnąwszy ostrogi w boki swoich rumaków, puścili się co konie mogły wyskoczyć. Towarzysze chorągwi za nimi poszli w pogoń, podczas gdy z rozkazu Starosty luzacy podnosili leżących. Pogoń niedługo trwała. Nasi trzej tak szybko przed nimi zmykali, że nie było sposobu ich dopędzić. Ale gdy jeden z nich napadł na rów śniegiem zasypany, koń się związał i padł z nim razem. Kilku z towarzystwa zsiadło z konia i do niego przyskoczyli. Ale on się im oddał, żadnego nie robiąc oporu.

Z jeńcem swoim wrócono pod karczmę i stamtąd ruszono razem ze starostą do młynarza marymonckiego, w którego mieszkaniu król z wielką niespokojnością oczekiwał przybycia starosty. Kiedy wszedł starosta, król się zerwał z łóżka, na którym siedział, wziął go w swoje objęcia, i zaczął go ścisnąć jako przyjaciela i wybawcę. Ale kiedy starosta mu powiedział:

— Najjaśniejszy panie, nieprzyjaciele waszej królewskiej mości jedni poginęli, a drudzy są w naszym reku,

Król na to nie mu nie umiał odpowiedzieć z radości, tylko zdjął z siebie wstęgę Orła Białego i włożył ją na starostę.

Starosta, ukląkłszy przed królem, rękę jego do swoich ust przyłożył.

— Wracaj, najjaśniejszy panie, teraz do stolicy, wśród wiernej swojej straży. A oto mamy trzech jeńców.

— Niech ich tu przedemnie wprowadzą — rzekł król.

Wprowadzono do izby Łukawskiego, a chociaż czterech towarzyszy trzymali go między sobą, król, na widok jego wzrostu, omal nie olbrzymiego, i zuchwałości jego postawy, zadrżał. Ale przyszedłszy do siebie, rzekł do niego:

— Jestem Łukawski, szlachcie polski i pułkownik konfederacji Barskiej. Dowodziłem tym oddziałem, co dopiero został zdradzonym od szczęścia, będąc wprzód zdradzonym od tego, któremu zaufałem.

— Kto waćpanu dał rozkaz, ze mną, ze swoim królem, tak postąpić, jak postąpiłeś?

— Nikt, ja sam chciałem ciebie dostawić do Częstochowy, ażeby tym sposobem położyć koniec i wojnie domowej i tym wszystkim klęskom, które trapią kraj nasz, od tej chwili, jakieś się nam narzucił na króla.

— Nędzarzu! czy wiesz, że życie twoje jest w moim ręku?

— Życzę tobie tak być przygotowanym do śmierci, jak ja. Wiem, co mnie czeka, ale jeżeli cień sprawiedliwości w sercu zachowujesz, ocal mojego kolegę, który wraz ze mną został twoim jeńcem. Ty jemu winienesz, że jeszcze żyjesz. Ja przed roгатką Marymoncką chcia-

łem cię zabić, on wstawieniem się swoim ciębie wy-
ratował.

— Jakież masz powody do takiej przeciwko mnie
zawziętości? Cóż ci złego zrobiłem?

— Jeżeli będzie sąd na mnie, przed nim będę się
tłómaczył.

Wprowadzono drugiego jeńca. Starosta, ledwo na-
okiem rzucił, krzyknął przeraźliwie i padł bez przytom-
ności pod nogi królewskie.

XIV.

Sprawa o porwanie króla toczyła się publicznie i
po pierwszych sesjach sądu król mógł się przekonać, jak
jest niebezpiecznie nieprzyjaciela energicznego i zu-
chwałego wystawiać przed publicznością. Każde słowo,
wychodzące z ust Łukawskiego, było pociskiem na króla,
a męstwo, przytomność i niezachwianie tego człowieka
tak osłabiły pierwsze wrażenia oburzenia, że już wy-
razy jakiegoś współczucia dla Łukawskiego słyszeć się
dawały po mieście. Kosińskiego dla własnego jego bez-
pieczeństwa musiano wywieźć z kraju, a starosta Wie-
luński, dopiero ulubieniec salonów warszawskich, już
zaczynał wszędzie spotykać oziębione oblicza. Czasem
wyraz „bratobójca“ zdaleka dochodził jego uszu. Powta-
rzano wszędzie, a nawet na pokojach królewskich, że
wojski, powodowany afektem braterskim, przypuścił
starostę do działu ojcowizny, która jemu jednemu była

przeznaczoną; że nigdy nie przestawał dawać mu dowodów najszczerzego przywiązania, a że starosta mu się odwdzieczył, naprzód porywając dla siebie pannę, bratu zaręczoną, a nakoniec prowadzi go na rusztowanie.

Starosta Wieluński cierpiał niesprawiedliwie i cierpiał nad miarę. Po powrocie z królem od tego był zaczął, że poszedł do domu, by mu ranę opatrzono, bo taki ból czuł w piersiach, że był przekonany, że strzał do niego obrócony go nie minął. Starosta krwią chrząkał przez dni kilka, co mu jednak nie stało na zawadzie biegania wszędzie, by wyratować brata, którego zguby przez jakąś fatalność stał się sprawcą. Nakoniec otrzymał prywatne posłuchanie od króla. Stanąwszy przed nim, jakkolwiek spostrzegł w obliczu króla, że jego przybycie, zawsze tak uprzejmie dotąd przyjmowane, zdawało się nieco ciężyć królowi, jakkolwiek zauważył, że król układem i łagodnością przybraną nie mógł pokryć jakiejś oziębłości, bo doświadczone na dworach oko starosty umiało czytać we wnętrzach duszy tych, co z nim obcowali, jednak skromnie i poważnie tak zaczął:

— Staję przed tobą, miłościwy panie, okryty twojemi łaskami. Dotąd nigdy o żadną dla siebie nie prosiłem, chociaż wasza królewska mość niejednokrotnie do tego mnie upoważniała: dobroć twoja, królu, zawsze żądania moje uprzedzała. Nie zasługi moje, bo nikt ich mniej odemnie nie ceni, ale wspaniałomyślność twoja ośmiała mnie pierwszy raz prosić za sobą. Honor mój jest w rękach waszej królewskiej mości, a ten honor jest ściśle spojony z losem, jaki brata mojego ma spotkać. Błagam cię, miłościwy królu, przebacz bratu mojemu! Nie dopuść, by wiernego śługi twojego, szefa

twojego gabinetu, tego, któregoś tyle razy publicznie zaszczycił nazwiskiem twego przyjaciela, palcem wytykano, jako bratobójcę, jako człowieka z plemienia shańbionego rusztowaniem.

— O cóż to idzie, mości starosto? Niech brat waćpana zezna, że czynność jego była dopełnieniem rozkazu danego mu od hersztów Barskiego spisku, a natychmiast wrota jego więzienia przed nim zostaną otwarte. Sam nie wiesz dobrze, mój starosto, że rozkaz był dany. Jużci ani Łukawski, ani brat waćpana tegoby się nie domyślili! Za cóżby miał być tak upartym w tajeniu prawdy tak oczywistej?

— Aż nadto pewny jestem, miłościwy królu, że mój brat był tylko wykonawcą cudzej woli, ale, jeżeli przysięgą obowiązał się do zachowania tajemnicy, jakże się spodziewać, by człowiek, dzielający wszystkie fanatyczne wyobrażenia swojego narodu, miał siebie od przysięgi rozgrzeszać? I my, sami, którzy męczennikami jesteśmy częstokroć słowa danego, możemy potępiać wierność, którą on zachowuje dla tej przysięgi? Bądź wspaniałym, najmiłociwszy panie! Nie odmieniaj przyrodzenia twojego, przebacz mojemu bratu, a tem zawziętego przeciwnika przemienisz w najgorliwszego stronnika.

— Ale cóż mogę temu poradzić, mości starosto? Jako człowiek, Boga biorę na świadka, że żadnej osobistej niechęci przeciw niemu nie piastuję! Ale jako król, czyż mogę przerywać bieg sprawiedliwości? Pozwól, bym i ja także pamiętał o mojej przysiędze.

— Widzę więc, najjaśniejszy panie, że moje usługi już się naprzykrzyły waszej królewskiej mości. Brat zbrojcy na śmierć skazanego nie może być szefem gabi-

netu królewskiego; zresztą moja przytomność przypominałaby ciągle przysługę nadto wielką, by jej pamięć mogła być przyjemną. Widać, że są poświęcenia poddanego dla swojego pana takie, że na nie się zdobywszy, trzeba zaraz potem umrzeć, ażeby i sobie oszczędzić pasma zgryzot i króla oswobodzić od ciężaru wdzięczności.

Starosta odszedł w największym poruszeniu. Ani zadawał sobie pracy pokrycia swojego uniesienia. Spiesznie przeszedł garderobę królewską, odpychając każdego, który się do niego przybliżał. Nic już przed sobą nie widział. Szedł prawie bez przytomności i tak zbiegł ze schodów zamku. Lokaj rzucił na niego szubę i otworzył karete. Starosta tego nie spostrzegł, poszedł pieszo, nie wiedząc, dokąd dąży. Stał na koniec, a obracając się ku zamkowi, już niknącemu mu z przed oczu:

— Niewdzięczniku, samolubie — rzekł — otóż to nagroda za tyle poświęceń, otóż to przyjaźń, coś mi ją tyle razy oświadczał! I ja takiego rodzaju królowi służyć mogłem? Lecz nie triumfuj! Mojego brata tak łatwo na rusztowanie nie poprowadzisz. Wszystkiego się dopuszczę! Mam chorągiew gotową na moje zawołanie, mam żołnierzy do siebie przywiązanych. Bądź co bądź, wyratuję brata, albo razem z nim zginę.

I krokiem śpiesznym poszedł do swojego pałacu.

IXV.

Pułkownik Łukawski był zamknięty w temże więzieniu, co i wojski, ale każdy z nich, oddzielną izbę zajmując, żadnych znoszeń ze sobą mieć nie mogli. I Łukawski i Michał równie byli mężni, ale męstwo w każdym z nich innemi cechy się objawiało. Łukawski zdawał się ciągle przypominać sobie, że trzeba pokazać się odważnym. Michał zupełnie o sobie zapominał i za żadnemi efektami się nie upędział. W pierwszym prze magała zuchwałość i duma, w drugim rezygnacja i skromność. Jeden, nawet w więzieniu, budził w sercu swoich strażników coś nakształt bojaźni, drugi jakieś uszanowanie. Energja pułkownika wylewała się gwałtownością, energja wojskiego cierpliwością niczem niezachwianą. Łukawski wyraźnie okazywał wżgardę dla śmierci i niemniejszą wżgardę dla tych, co byli jej sprawcami; Michał okazywał dla pierwszej obojętność, a dla drugich jakieś politowanie religijne, bez najmniejszej chęci ich upokorzenia.

Od pojmania swego wojski najmniejszą nie łudził siebie nadzieją. Przygotowany do śmierci, i wolą i uczuciem oderwał się od tego świata, i tylko myślał o tem życiu nowem, gdzie już bez przeciwności, bez zgryzot, bez obawy miał się złączyć z ojcem swoim w krainie wieczności, na łonie Najwyższego. Jakkolwiek czasem się wzdrygał na to gwałtowne rozstanie się z życiem, w połowicy dni swoich, Wiara, Nadzieja i Miłość, te trzy puklerze chrześcijańskiego żywota, tyle męstwa

mu przydawały, iż zawsze brał górę nad tą słabością ślepej i głupiej natury. I ta walka stawała się powodem nowych zwycięstw, co je Bogu przynosił w ofierze.

Ledwo osadzony został w więzieniu, zaraz podzielił swój czas wedle porządku statecznego i w niczem go nie zmienił. Porządek w układzie swojego czasu, niestety tak krótkiego, jest jedną z najgłówniejszych zapraw cnotliwego życia.

Michał wstawał o piątej. Przebudziwszy się, zaraz się ubierał i modlił się do szóstej, poczem szedł do kaplicy więzienia, słuchał mszy świętej. O siódmej przynoszono mu śniadanie — piwo grzane, poczem czytał kazania, lub żywoty świętych Piotra Skargi, znajdując w tem czytaniu i wielką pociechę i wielką rozrywkę. Od dziewiątej do jedenastej, jeżeli nie był powołany przed sąd, przechadzał się po dziedzińcu. O jedenastej przychodził do niego ksiądz Białobrzeski, kapelan więzienia, mąż słynny w całej Polsce ze swojej świętobliwości, a który zaofiarował siebie na żywot prawdziwie męczeński, gdyż wszystkich dekretoowanych na śmierć dysponował. Z tym czcigodnym kapłanem przepędzał całą godzinę w pobożnem obcowaniu i wynurzał przed nim duszę swoją bądź w potocznej, bądź w sakramentalnej rozmowie. Ksiądz Białobrzeski powtarzał, że po każdej godzinie spędzonej z wojskim, czuł siebie być lepszym niż wprzód. O południu pożywał skromny obiadek. Po pierwszej przychodził do niego generał Koryciński, przezacny człowiek, dowódca więzienia, a dawny Michała znajomy, i z nim więcej godziny bawił. Wojski przyjmował go jak gospodarz gościa, z twarzą wypogodzoną, z rozmową dowcipną, mając w pilnem baczeniu, żeby go nie zasmucić, przypominając mu coś

takiego, coby się odnosiło do przyszłego jego losu. Po wyjściu generała bawił się tokarnią, którą na jego ządanie generał kazał mu wnieść do izby, i właśnie toczył na pamiątkę generałowi warcaby z bukszpanu i hebanu. O piątej czytał, o siódmej używał powtórnej przechadzki, o ósmej przynoszono mu wieczerzę, o wpół do dziewiątej zaczynał modlitwy wieczorne, odmawiał na cześć Niepokalanego Poczęcia różaniec lub koronkę; przed dziesiątą kładł się do snu.

Tymczasem sąd postępował. Wreszcie ogłoszono wyrok: Michał i Strawiński i Łukawski zostali skazani na śmierć.

Starosta ze swej strony robił, co tylko mógł, dla ocalenia brata. Powtórnego posłuchania prosił u króla, ale to mu odmówione zostało. Napisał do króla list obszerny, gdzie, przypominając mu najuniższej swoje zasługi, przeproszał go, jeżeli, położenie brata gdy mu przytomność odjęło, w czemkolwiek mógł go obrazić. Błagał króla o przebaczenie dla brata, ofiarował mu życie swoje na każde jego zawołanie, byle brata jego ocalił. Nic nie zaniedbywał, żeby przyrodzoną współczułością króla obudzić.

Starosta, wyczerpawszy wszelkie środki dworszczyzny, nakoniec wpadł w rozpacz, i rodzime zuchwalstwo polskie wzięło w nim górę nad wszelki polor, wychowaniem zagranicznym nabyty. Posłał królowi dymisję od urzędu szefa gabinetu i do niej dołączył list cierpki, w którym oświadczył, że honor i sumienie nie pozwalają mu dłużej zostawać w usługach jego królewskiej mości. Król, obrażony do najwyższego stopnia, wyprawił do niego szambelana swojego Camellego, żeby mu oświadczył w jego imieniu, że przyjmuje dymisję sze-

fostwa swojego gabinetu, oraz żąda nie mniej jego dymisji od służby wojskowej i zdania najrychlejszego chorągwi królewskiej kawalerji narodowej, która pod jego dowództwem dotąd zostaje.

Przyszła wreszcie najstraszliwsza chwila dla starosty. Trzeba było, żeby się widział koniecznie z bratem, którego rozmyślnie kiedyś przywiązanie zdradził, a którego świeżo, choć w niewiadomości, pojmał i oddał w ręce nieprzyjaciół.

Przybywszy do więzienia, kazał siebie wprowadzić do wojskiego. Z początku, oficer służbowy się wahał, ale na groźny rozkaz, dany mu od oficera tyle wyższego w dostojęństwie, a ozdobionego najwyższem orderem kraju, był mu posłusznym.

Wojski właśnie wtenczas dotaczał cybuch, przeznaczony na pamiątkę Wazgirdowi, kiedy drzwi jego więzienia się otworzyły. Ludwik stanął na progu jak wryty. Ale Michał wyskoczył do niego z ramionami wyciągniętymi, ścisnął go w swoich objęciach i, kilkakrotnie ucałowawszy, powiedział:

— Niczego nie pragnąłem, jak ciebie przed śmiercią widzieć, żeby się pojednać z tobą i oświadczyć, że ciebie z całego serca miłuję i że najmniejszego żalu ani przeciw tobie, ani przeciw mojej bratowej nie zachowuję. Bądźcie szczęśliwi oboje w jaknajdłuższe lata i miejcie mnie w pamięci, a czasem westchnijcie za moją duszę.

Ludwik czas jakiś słowa wymówić nie mógł. Uczuł jakieś ściśnienie w piersiach, aż nakoniec dwa strumienie łez puściły mu się z powiek.

— Jestem bratobójcą! — krzyknął starosta — jestem przeklęty od Boga i ludzi!

— Cóż ty mówisz, drogi Ludwiku! Uspokój się! Któż ci podobny zarzut uczynić może?

— Ach, bracie, przyszedłem błagać ciebie o przebaczenie, a dobroć twoją, uprzedzając mnie, tem mnie zabija. Lecz jeżeli byłem zbrodniarzem, jestem przynajmniej dość silnym, by przeszkodzić, ażeby miara nieprawości się dopełniła. Przyszedłem ratować ciebie. Uciekaj pod pieczę moją, ja ciebie z miasta wyprowadzę. Dowodzę oddziałem żołnierzy mężnych i na których spuścić się mogę. Idź ze mną, bracie!

— Z największą wdzięcznością, z czułością braterską przyjmuję twoją ofiarę, ale z niej korzystać nie mogę. Nie umiem tego przed sobą wytłómaczyć, ale mam przekonanie niezłomne, że tylko przyzwoleniem na to, co mnie teraz czeka, mogę w zupełności wywiązać się z moich obowiązków. Kiedy szczęście nas zawiodło, niechże przynajmniej nasza sława będzie ocaloną w przekonaniu ludzi pocziwych. Moje przeznaczenie cofnąć się nie może. Zginę, ale zginę człowiekiem pocziwym, bojącym się Boga, a nie śmierci.

— Ty nie masz prawa, Michale, sobą rozrządzać! Kto tobie dał prawo pozbawić pomocy stronnictwo, w którym widzisz ojczyznę? Kto ci dał prawo okrywać hańbą twojego brata, twoje imię? Do sumienia twojego się odwołuję.

— Jeżeli zasłużyłem na karę śmierci, czy ta kara będzie spełnioną, czy nie, postępek już shańbił moje imię. Jeżeli jestem niewinny, sława moja będzie ocaloną. Gdybym uciekł, dopierobym shańbił moje imię.

— A wszakże, dostawszy się w niewolę pod Stołowicami, nie wahałeś się ratować ucieczką?

— Wtedy był czas walki, a teraz nadeszła chwila ofiar.

— Bracie — rzekł Ludwik w największem uniesieniu i padając mu do nóg — to być nie może, byś poszedł na rusztowanie! Przed nikim jeszcze kolan moich nie ugiąłem, a teraz u nóg twoich błagam ciebie, nie zabijaj brata twojego, nie skazuj go na rozpacz.

— Bracie! — odparł wojski, podnosząc starostę — czemuż ostatnie chwile życia mojego zatruwasz, rozdzierając serce moje? Cześć, sumienie, wiara nie pozwalają mi zadość uczynić woli twojej; jakże możesz mnie nakłaniać do czynu, na którego wspomnienie dusza moja się wzdryga? Zostaw mnie, bracie! Znasz mnie przynajmniej tyle, byś wiedział, że od postanowienia mojego nigdy nie odstąpię; wszakże, jeżeliby mi się nawet godziło zawieść ufność godnego męża, którego straży jestem powierzony, czy ty myślisz, że pomoc, co mi ją ofiarujesz, nie jest zbrodnią? Czyż tem nie zdradzasz króla, któremu służysz, i czy możesz przypuścić, bym chciał być współnikiem zdrady, jedynie dla ocalenia mojego?

— Już przestałem być sługą królewskim; wczoraj jeszcze złożyłem szefostwo gabinetu, jestem jak ty obywatel i mam prawo iść drogą, jaką mi przekonanie wskazuje. Żegnam cię, ale nie długo, wkrótce się zobaczymy. Pomimo króla, pomimo twoje straże i ciebie samego, muszę cię wyratować, albo zginę. — I wyszedł z więzienia.

XVI

Starosta, odszedłszy brata, o niczem nie myślał, tylko o jego wybawieniu. Jako nawykłego oddawać siebie bez rozwagi i oporu wszystkim pociągom, jakich doświadczał, żadna przeszkoda wstrzymać nie mogła. Chciał zebrać chorągiew swoją, z nią napaść na więzienie, brata odbić i z nim pójść choćby na krańce świata. Ale natura jego tych cierpień, których doświadczał, znieść nie mogła. Zachorował.

Przybył Sio, doktor jego królewskiej mości, z Francji przed kilkoma laty sprowadzony, biegły w swoim kunszcie, a wielce zaufany staroście, którego był i zwykłym lekarzem i przyjacielem. Sio zastał pacjenta w gorączce nadzwyczajnej i w stanie bardzo niebezpiecznym. Starosta już go nie poznał. Więcej dwóch tygodni leżał bez przytomności i nadziei życia. Żona go o krok nie odstępowała, przepędzała noce bezsenne, pilnując męża.

Sio po całym mieście z uniesieniem roznosił te cuda wytrwałości i przywiązania najpiękniejszej kobiety. Iskry życzliwości dla starosty, pokryte w sercach dworzan popiołem zawiści i samolubstwa, zdawały się wydobywać z siebie jakiś płomyczek. Zaczęto przynajmniej dowiadywać się o jego zdrowie. Jednak, lubo starosta wielu paniczom wielkiego świata powyrabiał rozmaite łaski od króla, chociaż przed kilku tygodniami jeszcze oni mu zaprzysięgali dożgonną wdzięczność, wszakże niewiele karet widać było przy pałacu staro-

sty. Ale za to dziedziniec jego był napełniony rzemieślnikami i ubogimi, bo oni jedni pamiętali o jego dobroczynności i o tych wrodzonych cnotach, w które obfitował. Słudzy jego łzami się zalewali. Nawet u zagniewanego króla dawna skłonność dla starosty zdawała się obudzać. Jak tylko się dowiedział, że już podwoje grobowe przed nim się otworzyły, kazał siebie zawieźć przed jego bramę, gdzie sam zapytał o jego stan. Starościna zeszła ze schodów do karety króla, żeby mu podziękować za jego łaskawą pamięć o mężu. Bezsenność i zgryzoty takie ślady zostawiły na jej twarzy, że król przeraził się widokiem tej kobiety, jeszcze przed kilkudniami tak świeżej, tak zachwycającej pięknnością.

Kiedy starosta pasował się z śmiercią, wojskiego męczeństwo się dopełniało. Ostatniego Listopada, miesiąca zawsze dla niego złowrogiego, bo wszystkie nieszczęścia życia w tym miesiącu go spotykały, był wprowadzony na stracenie, razem z pułkownikiem Łukawskim. Ksiądz Białobrzeski towarzyszył im aż na rusztowanie, żeby krzepić ich pociechami religijnymi. Ale nie miał potrzeby to czynić: Łukawskiego odwagę trzeba było miarkować, a nie pokrzepiać, a Michał już był uzupełnił ofiarę życia.

W wigilję śmierci wręczył księdzu Białobrzeskiemu dwa listy. Jeden był do Ludwika, drugi do Wazgirda. Brata zaklinał, żeby nigdy sobie nie wyrzucał, iż stał się przyczyną jego śmierci, gdyż to było zupełnie niezawisłe od jego woli; przypominał mu obowiązki dla żony i córki, której posłał stryjowskie błogosławieństwo. Wazgirda, między innymi wynurzeniami serca, które bić wkrótce miało przestać, zaklinał, żeby o żadnej zemście za jego zgon nie myślał. Przez całą

podróż od więzienia aż do placu kaźni odmawiał z kapłanem modlitwy konających. Na rusztowaniu pocałował kata na znak pokory i zegarek złoty zostawił mu na pamiątkę. Ostatni raz przeżegnał się, oczy podniósłszy ku niebu, i najspokojniej szyję pod miecz pod-

XVII

Kiedy się to dopełniło, starosta, chociaż nie okazywał najmniejszej oznaki przytomnego umysłu, chociaż nikogo nie poznawał, wszakże to wszystko przed nim wewnątrz się wyrażało. W tej chwili właśnie, kiedy jego brata prowadzono, krzyczał przeraźliwie, wołając ratunku. Imię Michała powtarzał to żałosnym, to znowu wściekłym głosem. Zrywał się z łóżka, i tak się szamotał, że kilku ludzi ledwo go wstrzymać mogło. Poczem znużony padł bez siły, leżał na wznak nieruchomy, ustami tylko ruszając, ale żaden głos z piersi nie mógł się wydobyć. To pewna, że, jak potem wrócił do przytomności, o nic pytać nie potrzebował. Wszystkie szczegóły śmierci brata tak tkwiły w jego umyśle, jakby rzeczywiście na nie patrzył. Co więcej, upominał się o oddanie mu listu od brata, twierdząc, że widział, jak pisał do niego.

Sio zalecał, żeby mu się nie sprzeciwiano, żeby go ułagodzano, czyniąc ile możności zadość wszystkim jego, chociażby najdziwaczniejszym wymysłom, prze-

Kładając, że lada gwałtowne wzruszenie może go na zawsze pozbawić rozumu. Zosia usiłowała go rozweselać to muzyką, to przyniesieniem mu dziecka, to własnymi pieśnyczotą, szczęśliwą, jeżeli uśmiech choć krótkotrwały zabłądzi do ust jego. Jak to spostrzeże, ma siebie za sówicie wynagrodzoną.

Ocknął się nakoniec Ludwik, jakby ze snu twardego, w którym mary i okropne widziadła go dręczyły, przemówił do żony przytomnie. Pierwsze jego słowa były pełne miłości i wdzięczności dla niej. Wszakże wymówiwszy tych słów kilka, wpadł w odrętwienie.

Zdawało się, wszystkie sprężyny, któremi duch porusza ciało, były w nim porwane. Całkowite godziny leżał nieruchomy i milczący. Na wszystko okazywał się obojętnym, nawet znakiem nie dawał poznać chęci zaspokojenia jakiegobądź potrzeby. W umówionych godzinach przynoszono mu strawę. Zosia własną ręką go karmiła, jak dziecię. On kilka łyżek polewy przełknie, poczem tylko od żony zrozumianym znakiem oświadczając wdzięczność, ale sam o nic nie prosi. Jak niemowlę był podwładnym wszystkiemu, co go otaczało.

Od dni kilku Zosia próbowała znajomych więcej z nim zażyłych przybliżać do jego łóżka, ale, jakkolwiek Ludwik nie pokazywał, by te nawiedziny jemu były ciężące, ona poznała, że mu nie były miłe.

Lecz co było najboleśniesz dla Zosi, to, że myśl jego żadną przelotną nawet oznaką nie okazywała chęci powrotu do uczuć religijnych. Wzrok jego, po wszystkich przedmiotach błędzący, tylko ku niebu nigdy się nie podnosił. Umyśliła nakoniec uprosić księdza Ghicciotti, kanonika Warmińskiego, Włocha, słyn-

nego z nauk i słodczy w obcowaniu, by raezył nawiedzić jej męża, z którym go wiązały stosunki wzajemnego szacunku. Ale zaledwie ujrzał Ludwik zbliżającą się ku niemu duchowną sukienkę, ten człowiek, głośny w kraju i za krajem osobistą odwagą, taki przestach okazał, że roztropny kapłan natychmiast się oddalił. Jednak, że chory już był wyszedł z niebezpieczeństwa, przypisywał to niezwyczajne jego uczucie wielkiej drażliwości nerwowej.

Razu jednego siedząc przy mężu, jak zwykle, a widząc go w smutku pogrążonym, wszakże znacznie zdrowszym, Zosia próbowała go rozerwać rozmową. On raptownie przerwał, mówiąc:

— Aniele mój drogi, każ mi przynieść zwierciadło, ciekawy jestem obaczyć się z sobą.

Zosia kazała mu przynieść, co żądał. Jak się spojrzał w zwierciadło, zadrżał. Zarosły, wyłysiały, wybladły. Trudno było w nim poznać tego świetnego kawalera, wzniecającego wszędzie albo zapał miłości, albo udręczenie zawiści. A co dziwniejsza, co i nawet żona zauważyła, rysy jego, obnażone z świeżości i zadecwolenia, dawały mu wielkie podobieństwo do Michała, jakiego dawniej nie miał.

— Ach, mój aniele drogi — wkrzyknął Ludwik — jakże mogłaś ludziom pokazywać podobne straszyny!

To wyrzekłszy, kazał natychmiast siebie ogolić, a nawet bladłość swoją usiłował pokryć kłamanym rumieńcem. Zosia, na to patrząc, uczuła wielką radość, gdyż w tym zwrocie ku dawnej próżności upatrywała rękojmię powrotu do zdrowia.

I w rzeczy samej, Ludwik wracał stopniami do dawnej siły i rzeźwości, chociaż wyraz głębokiego smut-

ku jeszcze nie opuszczał jego czoła. Starościna z wymową przywiązanej żony razu jednego zaczęła przed nim kreślić obraz szczęścia, jakie może ich spotkać za granicą.

— Ludwiku drogi — rzekła — kupimy zamek w okolicach Paryża. Latem żyć będziemy na wsi, w zimie mieszkać będziemy w Paryżu. Tam odnowisz dawne twoje stosunki, tam mieszka nasze braterstwo. Jak i mnie i naszą Ludwisę tam zawieszysz, cóż tu pozostanie, za czem miałbyś tęsknić? A co do mnie, byleś mnie zawsze kochał, z tobą, z mojem dzieckiem, wszędzie będę szczęśliwą.

— Dobrze mówisz, aniele drogi. Nam w Polsce już nie mieszkać! W Paryżu, w Wersalu, odnowię jestestwo moje. Odtąd, czując się pokrzepionym na sile, zajmę się wyłącznie wyprzedaniem naszych majątków. Tak, pragnę wynieść się do Francji, żeby już nie mieć potrzeby nigdy wracać do Polski.

Przywykły oddawać się z popędem niczem niewstrzymanym wszystkimi pociągami swojej woli, starosta, raz powziąwszy zamiar opuszczenia na zawsze swojej ojczyzny, ze zwykłym sobie zapalem oddał się temu przedsięwzięciu, na nic się nie oglądając, a Zosia się cieszyła, gdyż w tem znalazł jakąś energję, która mu rozejm przynosiła z jego zgryzotami.

W Polsce stan rzeczy już się był odmienił. Konfederacja Barska, ten pamiętny epizod konającego narodu, już się była rozwiązała. Oprócz trzech mężów, którzy wcieli sobie na dobrowolne wygnanie wskazać, niż przeprosić króla, wszyscy wodzowie pogodzili się z królem, który już był niezaprzeczoną i prawą panem Polaków.

Stanisław August pragnął nabyć dla ulubionego synowca, młodego księcia Stanisława, znaczną nieruchomość. Jak się więc dowiedział, że obaj małżonkowie Strawińscy szukają kupca na majątki swoje, zalecił synowcowi, by je nabył dla siebie, ofiarując mu wszystkie ku temu środki.

Pan Ancuta, umocowany księcia, a bliski krewny pani Strawińskiej, umówił się z nią i z jej mężem o cenę, zawarł z nimi transakcję, a cały ich majątek został przelany na księcia Stanisława. Majątek był znaczny. bo, chociaż państwo Strawińscy różne zrobili przekazy dla sług i ubogich krewnych, przeszło sto tysięcy czterwonych złotych w wekslach najpewniejszych na Hamburg, Paryż i Londyn zostało ich własnością.

Nie pozostało Ludwikowi, jak załatwić się ze zbyciem swojego pałacu i starostwa i złożyć tę chorągiew, przy dowództwie której niedawno obstawał tak uporczywie.

Nabył pałac ambasador rosyjski, dozwalając staroście go zajmować aż do wyjazdu.

Pułkownictwo swoje odstąpił za zezwoleniem królewskim, panu Obuchowi, chorążemu tejże chorągwi, którego wielce szacował i od którego ciągle dowody przywiązania odbierał.

Tak wszystko ułożywszy, zdawał się być zupełnie spokojnym, bo zajmował się wyłącznie podróżą. To zajęcie zdawało się ożywiać Ludwika. Ciągłe rozwijał przed żoną plany ich przyszłego życia we Francji; rozpytywał się nad przyjemnościami, co ich tam spotkać miały. Przyjaźń jego dla Bertranda zdawała się być

podwojoną; z niewypowiedzianem uniesieniem powtarzał, że już się z nim nigdy nie rozstanie.

Jednak, jakkolwiek nadzieja często się przed starostą uśmiechała, smutek nie na długo opuszczał jego duszę. Kiedy sam zostawał, często coś podobnego do bojaźni doświadczał, jakieś złowieszcze przeczucia go przerażały. Czasem przebudzał się raptownie, czuł niespokojność, serce albo biło w nim gwałtownie, albo wydawało się jemu jakby zlodowaciałe; często przechadzał się krokiem szybkim po obszernych salonach pałacu. Sen nawet nie zawsze mu przynosił wypoczenie; często przez sen wołał Michała, chociaż w przebudzeniu nigdy nie mówił o nim, ani o żadnej rzeczy, któraby go przypomnieć mogła. Zosia, to widząc, także niknęła w smutku; tem tylko się pocieszała, że te wszystkie wewnętrzne walki opuszczą go, jak tylko przestąpi granice ojczystej ziemi, gdzie jakieś nieprzewidziane zdarzenia ciągle mu przypominały to, coby rada była kosztem własnego zdrowia wymazać z jego pamięci.

I tak Ludwik, gdy złożył swojej chorągwi dowództwo w ręce chorążego Obucha, zwykłą wspaniałomyślnością powodowany, na pamiątkę kilkoletniego koleżeństwa każdemu towarzyszowi darował konia wierzchowego, a każdemu luzakowi kazał odliczyć po trzy czerwone złote.

Cała chorągiew przyszła z nim się pożegnać i stanęła na jego dziedzińcu; on, że noc prawie przepędził bezsennie, nie mógł wyjść na dziedziniec, ani jej nawet przyjąć w pokojach swoich, ile że Sio zalecił mu, ażeby troskliwie unikał wszystkiego, coby go zbyt poruszyć

mogło; ale kazał prosić nowego jej dowódcy, żeby w imieniu chorągwi przyjął jego pożegnanie.

Pan Obuch był człowiek poczciwy, prosty, bez najmniejszego zastanowienia to mówił, co miał w sercu, a któremu te wszystkie kołowania wyższego wychowania były obcemi. Staławszy przed dawnym wodzem, oświadczył mu żal całej komendy z powodu rozstania się z tak dobrym, tak wspaniałym naczelnikiem, a przysięgając, powiedział:

— Ja, chociaż z łaski jaśnie wielmożnego pana mam stopień, który mi los stanowi, a do którego nigdybym się nie dochrapał, będąc chudym pacholkiem, a jednak jak Bóg Bogiem wolałbym zostać przy mojem chorągwie, a być i nadal JW. panu posłusznym. JW. pan bez potrzeby i nas i ręce opuścił. Kaduk wiedział, że jak JW. pan z nami zapędziłeś się za konfederatami, między nimi znajdziesz i brata swojego. Jeżeli sąd marszałkowski go dekretował, tać to miecz, nie szubienica, hańby imieniu nie robi. Prawda, że głos powszechny mówi (bo ja nie miałem zaszczytu być mu znany), jakoby nieboszczyk pan wojski miał być wielce cnotliwym i godnym mężem; ale jego krew przez żaden sposób na jaśnie wielmożnego pana spaść nie może.

Łudwik nie odpowiedział, tylko duże krople potu spadały mu z czoła na twarz. Tak się uczuł zmęczonym wizytą pana Obucha, że pierwszy raz od choroby swojej próbował zażyć świeżego powietrza. Kazał zawieźć siebie do pani cześnikowej Litewskiej, ale wkrótce powrócił więcej jeszcze zasmucony, niż kiedy z domu wyjechał, bo tam zastał pana Zarembe, któremu niedawno ułatwił był pojednanie z królem. Myślał, że w nim znajdzie obowiązane przyjaciela i do niego

zbliżył się z wielką uprzejmością; ale ten, nisko się skłoniwszy, i najgrzeczniej z nim się przywitawszy, zaraz się wysunął, dając jawnie do poznania, że nie życzy sobie z nim zostawać w towarzystwie.

Zosia wyglądała niecierpliwie chwili wyjazdu. Już wszystkie przygotowania były ułatwione; już kilka bryk, naładowanych srebrem, bogatemi sprzętami i garderobą tego zamożnego stadła, wyprawionych zostało z Korendowiczem i Laflerem, i miały na nich czekać we Wrocławiu. Wszystkie klejnoty starościny, któreby już stanowiły fortunę dostateczną, były złożone w dużej szkatule pod jej kluczem; już byłznaczony dzień wyjazdu, dzień, któryby rada jeszcze przyspieszyć, jako mający koniec położyć tym wszystkim pasowaniom wewnętrznym męża. Za trzy dni mieli wyjechać; Ludwik zdawał się być spokojnym, nawet, co najwięcej pocieszało Zosię, powracał do dawnej łagodności i dworności.

XVIII.

Ludwik przepędził noc spokojnie. Dopiero o dziesiątej z rana się obudził, co mu się od dawna nie zdarzyło. Kiedy Zosia wybierała się do domu Bożego, on starannie się zajmował, żeby przed królem raz ostatni stanąć. Żadna kobieta więcej starania nie przykładła do swojego ubioru: że włosy były mu obłazły, głowę okrył peruką; nawet nie zaniedbał bielidła i gotowania rumieńca, żeby pokryć żółtość i zwiędłość lica,

wyniszczonego kilkoniedzielną niemocą. Kazał przynieść mundur pułkownika wojsk francuskich, który od lat tyłu spoczywał między jego szatami. Bo w tym mundurze chciał się stawić przed królem, by jemu i wszystkim pokazać, że już siebie nie ma za Polaka. Uważano nawet, że z jakąś przesadą unikał mówić po polsku od chwili, w której postanowił opuścić kraj na zawsze. Kiedy żona wychodziła do kościoła, on, który dopiero rozpoczynał swoją toaletę, odprowadził ją do drzwi, ucałował ją kilkakrotnie i powiedział jej kilka żartobliwych rzeczy o przyszłej audjencji, do której się gotował.

Starościna po odbytem nabożeństwie wstąpiła na czekoladę do cześnikowej, mieszkającej niedaleko Św. Krzyża; tam z nią się rozgadała o przyszłym wyjeździe swoim, zasilając się radami kuzynki, przywykłej podróżować zagranicą. W ciągu ich rozmowy przybył pan cześnik Litewski prosto z pokoiów królewskich i zdał damom relację o przyjęciu starosty.

— P'owiem paniom moim, że pan starosta, pomimo choroby tak długiej, bardzo dobrze i świeżo wyglądał; nikt nie poznał, że był w peruce. Pierwszy raz widziało go w orderze Orła Białego, a wstęga błękitna pięknie odbijała granatową barwę munduru francuskiego. Król wymówił mu łaskawie, że w zagraniczną barwę tak śpiesznie się przystroił. Pan Strawiński na to nisko się skłonił, zapytując króla, czy nie ma jakich rozkazów do Paryża? Król odpowiedział: — Żadnych rozkazów, ale prośbę, byś waćpan o nas nie zapomniał. Spodziewam się i tam mieć z pana przyjaciela; a co do osoby jego wiem, że dla siebie niczego nie żądasz; ale jeżeli interesujesz się za kim w czemkolwiek, proszę powiedzieć,

a miło mi będzie dowieść publicznie, ile mam dla waćpana szacunku. — Nie uwierzycie panie, jakie wrażenie te słowa królewskie zrobiły na wszystkich przytomnych. I otem król zaprowadził go do gabinetu ośmokatnego, który wychodzi z audjencjonalnej sali na taras. Uważaliśmy wszyscy, że więcej godziny rozmawiali z sobą i że rozmowa była żwawa. Dość, że pożegnawszy się z królem, mąż pani powracał przez salę z miną triumfującą. Każdy z przytomnych zbliżał się do niego z uniżoną uprzejmością, ale on na nikogo ani patrzył, tylko mnie raczył ścisnąć za rękę.

Zosia śpiesznie wróciła do męża, żeby mu powinszować przyzwoitego rozstania się z królem, pochlebiając sobie, że to pożegnanie zatrze w nim ostatki smutku i niespokojności. Ale jakież było jej zdziwienie, kiedy powróciwszy, dowiedziała się, że starosta, powróciwszy od króla znowu zapadł.

Zosia na palcach poszła do męża i ucho przystawiła do szpary, bo drzwi były tylko przymknięte. Usłyszała jęki, weszła.

— Cóż to, mężu drogi — przemówiła — cóż to nowego się zrobiło? Cóż to zatruwa ledwo odzyskaną twoją spokojność? Otwórz serce najlepszej twojej przyjaciółce, pozwól jej z tobą razem zapłakać.

— Ach, mój aniele — odpowiedział Ludwik — jestem najnieszczęśliwszym z ludzi! Moja gwiazda już się na zawsze zaćmiła. Dowiesz się później, do jakiego stopnia podłość i złość ludzka prześladowuje twójgo męża. Ale tak się czuję chorym, że nie mam dość siły, bym się wynurzył z tego, co mnie teraz spotkało. Później o wszystkim wiesz. Wszak wiesz, że dla ciebie nie mam nic skrytego. Ach! gdybyś mnie mogła

już wywieźć z tej przeklętej Warszawy! Aniele drogi, poślij zaraz po doktora, niech Sio mnie ratuje, bo tak mi duszno, tak coś ściska piersi, że lękam się na nowo zapaść. Jak przybędzie, powiedz mu, żeby mi co dał na sen, bo takiego stęsknienia doświadczam, że tego znieść nie mogę.

Zosia natychmiast posłała jeszcze niewyłożoną karetę po doktora.

Sio zastał go wielce wzruszonym, ale nie znalazł nic niebezpiecznego. Przepisał mu ułagadzający napój, nazajutrz zalecił mu wziąć kąpiel letnią i, obracając się do Zosi, powiedział:

— Niech pani będzie spokojną. Nikt lepiej odemnie nie zna temperamentu jej męża. Każda rzecz na nim robi gwałtowne wrażenie, ale nie na długo; to prawdziwa natura francuska. Wielkie jest w nim wzruszenie, ale to się już zaczyna uspakajać.

Ludwik po zażyciu mikstury zdawał się być spokojniejszym. Kazał przynieść dziecię swoje i z niem się bawił więcej godziny. Kolejno pieścił córeczkę i całował ręce żony. Czasem łzy czułości zraszały mu żrenice, czasem wdzięczny uśmiech odpłacał dowody przywiązania córeczki. Bo Ludwisia już wyraźnie wymawiała papa, mama, umiała całować i brać za szyję. Wszakże wkrótce jakiś dziwny wyraz smutku zaległ rysy Ludwika. Widać było, że ta rodzicielska czułość go zmęczyła. Jeszcze raz pocałował dziecinę i oddał ją matce, mówiąc:

— Może trochę wypocznę, jestem zmęczony, a do podróży pokrzepić się trzeba.

Zosia odeszła z dzieckiem, które jeszcze rączki wyciągało do ojca. Po dwóch godzinach Ludwik kazał żo-

nę poprosić do siebie. Mówił jej przelotnie o różnych zdarzeniach młodości swojej, sięgając pamięcią owych chwil, kiedy jeszcze zostawał w szkole rycerskiej w Lunewilu; i dodał:

— Mój aniele drogi, już i ja starzeję się, bo zacynam dawne czasy przenosić nad teraźniejsze. Ale tak jest w istocie, dawniejsi ludzie byli lepsi od dzisiejszych. Naprzykład Stanisław Leszczyński — jaki to był dobry, jaki wspaniały król, a wszystkie jego cnoty opierały się na wielkiej pobożności. Żona pocieszała go w tych niefortunnych kolejach, przez jakie przechodził, nim został ojcem najpotężniejszego monarchy, a wkrótce potem samowładnym panem ludu, który go czcił i kochał jak ojca. Jak ty, mój aniele, i wy wszyscy co wierzyć możecie, jesteście szczęśliwi!

— A ty, Ludwiku? Czyż słowa naszej wiary na tobie żadnego wrażenia nie robią?

— I owszem, mój aniele, jej słowa są nadzwyczajnie piękne! Ale jakże się przekonać, że są prawdziwe? Usiłowałem nakłonić mój rozum, żeby wierzył, tak jak wy wierzycie. Bo w złych przygodach czy może być coś więcej pocieszającego, jak ta myśl, że zostajemy pod rozporządzeniem najmędrzej, najlepszej, najdoskonalszej istoty, która nas miłuje nad wszystko...

— Ludwiku drogi! Uczyń sobie przymus, uczęszczając do kościoła, dzielając nasze nabożeństwa, a Bóg nagrodzi twoje usilności, że bez trudności uwierysz w Jego słowa.

— Nie, mój aniele, to być nie może. Nic mi nie powiesz takiego, czegobym sam sobie nie mówił. Przez ręce twoje posyłam jałmużny klasztorom, cierpiącego bliźniego nigdy od siebie nie odepchnąłem, obrazek, coś

mi go dała, nosić nie przestaje. Cóż więcej uczynić mogę? Czy podobieństwo wyzuć siebie z własnego rozsądku? Całe rusztowanie, na którem się wznosi gmach religji, niczem innym nie jest, tylko obawą śmierci. A właśnie zastanowienie się nad śmiercią przekonywa, że to, co mówią o następnej jakimś życiu, jest ułudą bojaźni i pychy. Jakże przypuścić, że po utracie wszystkich zmysłów, będę sądził, czuł, cierpiał i miał przekonanie mojego jestestwa? Jest w tem niedorzeczność. Wolno nazwać śmierć życiem, ale rzeczywiście śmierć jest śmiercią. Śmierć jest wiecznym snem, ale bez marzeń: śmierć jest ostatecznym końcem wszystkich rozkoszy i wszystkich udręczeń.

— Przestań, Ludwiku, tak mówić! Patrz, jak cała drzę z bojaźni, ciebie słuchając. Pamiętaj, że mamy dziecię, w którem skupimy wszystkie nasze nadzieje; nie ściągaj na nie Boskiego gniewu. Ludwiku najdroższy, oddalaj podobne myśli od siebie! Nieprzyjaciół twojego szczęścia tobie te myśli podaje. Ty masz zgryzoty nowe, których przenikać nie chcę, czekam, aż je sam wynurzysz na łono najwierniejszej twojej przyjaciółki! Nie umiesz znosić przeciwności i bierzesz szemrania niecierpliwości za głos rozsądku. Bądź mężnym, Ludwiku! Umiej znieść złe przygody! Większe to jest zwycięstwo, niż to, które z bronią w ręku się otrzymuje.

Wkrótce potem cześnikowa przyjechała do nich na wieczór. Nadzwyczajna wesołość Ludwika ją nieco zastanowiła, bo zbliżała się do dzieciństwa. Opowiadał różne anegdotki koszar francuskich, czasem dość śliskie, on, którego rozmowa zawsze była nacechowana najdelikatniejszą przyzwoitością. Potem, co także nigdy nie bywało, opowiadał ze wszystkimi szczegółami romans

swój z margrabiną de Pompadour. I to wszystko mówił tak prędko, mowę swoją przerywał śmiechem tak głośnym, że cześnikowa cicho powiedziała doktorowi:

— Czy nie uważasz, że on się zdaje być w stanie gorączkowym?

Sic jej odszepnął: — Nic to! Jak się wyśpi, a jutro się wykapie, wszystkie humory się zrównoważą. Ja się cieszę, że się rozgaduje, tem wzbrania przystępu smutnym myślom.

— I to zauważyła cześnikowa, że on, zawsze wstrzeźmieliwy w jedzeniu i napoju, jadł ledwo nie z żarłotwem wieczerzę, wypił kilka kieliszków wina, i co chwila czerpał w tabakierce doktora, on, który przedtem zapachu tabaki znieść nie mógł.

Było już dobrze po północy, kiedy to małe towarzystwo się rozeszło, bo ile razy, czy cześnikowa, czy Sio chcieli go pożegnać, Ludwik ich nie puszczał, aż póki sam nie uczuł gwałtownej potrzeby spoczynku. Cześnikowa, wychodząc oparta na doktorze, powiedziała mu, spuszczaając się ze schodów:

— Mów, co chcesz doktorze, a ja jestem niespokojną o Ludwika. Obaczysz, że on zapadnie znowu, on był cały ten wieczór jakby w oblakaniu. Jutro rano do nich przyjadę.

XIX.

Był to już dzień wyjazdu.

Ludwik obudził się późno. Gdy oczy otworzył, ujrzał Zosię, siedzącą przy łóżku i oczekującą jego przebudzenia. Powiedział do niej wesoło:

— Dawno nie czułem się tak dobrze.

Jednak zauważyła, że był bladszym niż wczoraj.

— Moja droga — rzekł do niej — miałem dziś rano pójść do kąpieli, czy kazałaś mi ją przygotować?

— Wanna czeka na ciebie w twoim gabinecie, jak kazałeś.

— Mój aniele drogi, pamiętasz, że kiedy mi zawieśiłaś na szyji medalik, dałem ci słowo, że oprócz ciebie samej, nikt go nie zdejmie. Weźże go, droga Zofjo, a jak wyjdę z wanny, ty znowu na mnie go włożysz.

Zosia zdjęła medalik i machinalnie zawiesiła go na sobie.

Ludwik przycisnął jej czoło do ust swoich i, wychodząc, ukłonił się jej nisko. Coś wtedy było tak dziwnego w jego spojrzeniu, że Zosia przełękła się, sama nie wiedząc czego, przez kwadrans ruszyć się z miejsca nie mogła; ale potem pobiegła do gabinetu męża, zastała Ludwika przy kantorku swoim, właśnie układał jakieś papiery, podczas gdy słudzy chłodził mu wodę, która mu się wydała zbyt gorącą.

Kiedy weszła, Ludwik roześmiał się głośno, mówiąc:

— Mój aniele, wywołaj ze sobą mojego Medora, bo jak mnie zobaczy w wannie, do niej zechce wskoczyć i wszystko zabryzga w gabinecie. Do zobaczenia, kochana żono!

Zosia nie bez trudności zabrała z sobą Medora, bo z uporem nie chciał opuścić pana swojego. Zosia zeszła do swojego apartamentu.

Tu Medor zaczął wyć przeraźliwie, Zosia zadzwoniła, wszedł lokaj.

— Wyprowadź tego psa — powiedziała.

Wtem silny wystrzał dał się słyszeć w samym domu.

— Co to jest? — krzyknęła Zosia. Po chwilach kilku drzwi się otworzyły. Kozak starosty wpadł i powiedział tylko te słowa:

— Nasz pan nie żyje!

Zosia czempredzej pobiegła do gabinetu męża. Jakież widok przedstawił się jej oczom! Ludwik siedział w wannie nieżywy. Twarz jego była krwią zboczona, a jego mózg obił się o pułap. Ludwik, wszedłszy do wanny, wypalił sobie w usta z kieszonkowej krucicy. Kantorek jego stał otworem; na nim leżał papier, własną jego ręką zapisany, i jeden numer gazety Lejdejskiej. W gazecie doczytano się artykułu, który był przyczyną tego nieszczęśliwego wypadku. Oto jest jego wyjątek:

Lille, 10 stycznia.

„To miejsce było przed kilku dniami świadkiem nader smutnego zdarzenia. W restauracji tutejszej pod Jeleniem zbierają się oficerowie regimentu Nawarry, tu załogującego, nikt prawie z osób cywilnego stanu, a żaden przejezdny gość jej nie omija. Zaczęto

mówić o świeżem ocaleniu króla polskiego; bo cała nasza publiczność teraz jest tem zajęta. Pospolicie to ocalenie przypisują hrabi Strawińskiemu, który po kilkunastoletniej zaszczytnej służbie w wojsku francuskim na wezwanie króla polskiego opuścił ojczyznę swoją przybraną i we własnej został sekretarzem stanu. Mówią, że dla lepszego wysłużenia się królowi, zobowiązał się zrobić mu ofiarę z rodzzonego brata, za co król obiecał zrobić go senatorem. Ten brat był jednym z najzawziętszych przeciwników królewskich i dał się sobie zamieszać do spisku w Częstochowie związanego, by króla gwałtem wywieźć z Warszawy i dostawić go do konfederacji. Obaj bracia, acz służąc przeciwnym sobie stronnictwom, żyli z sobą w stosunkach ścisłej przyjaźni. Nawet przeciwnik królewski, powodowany afektem braterskim, nie chciał korzystać z wydziedziczającego testamentu ojca i brata do równego działu z sobą przypuścić. Wszakże sekretarz stanu, mimo siebie puszczając pamięć takowej wspaniałomyślności, przywabił brata i wydał go królowi, który go skazał na śmierć jako królobójcę. Wyrok spełniony został ostatnich dni Listopada. Ten brat wyrodney nie otrzymał jednak spodziewanej nagrody. Senatorowie mieli przyjść do króla, prosząc go o cofnięcie obietnicy swojej, gdyż oni tej krzywdy sobie nie uczynią, by mieli z bratobójcą zasiadać. Z tego powodu król ze swoim sekretarzem stanu dość źle się rozstali. Piszą z Warszawy, że ów człowiek spodlony opuszcza Polskę i chce nanowu osiąść we Francji, gdzie jednak dobrego przyjęcia spodziewać się nie może“.

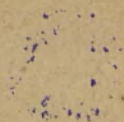
Papier, własną ręką Ludwika zapisany, był list dożony następującej treści:

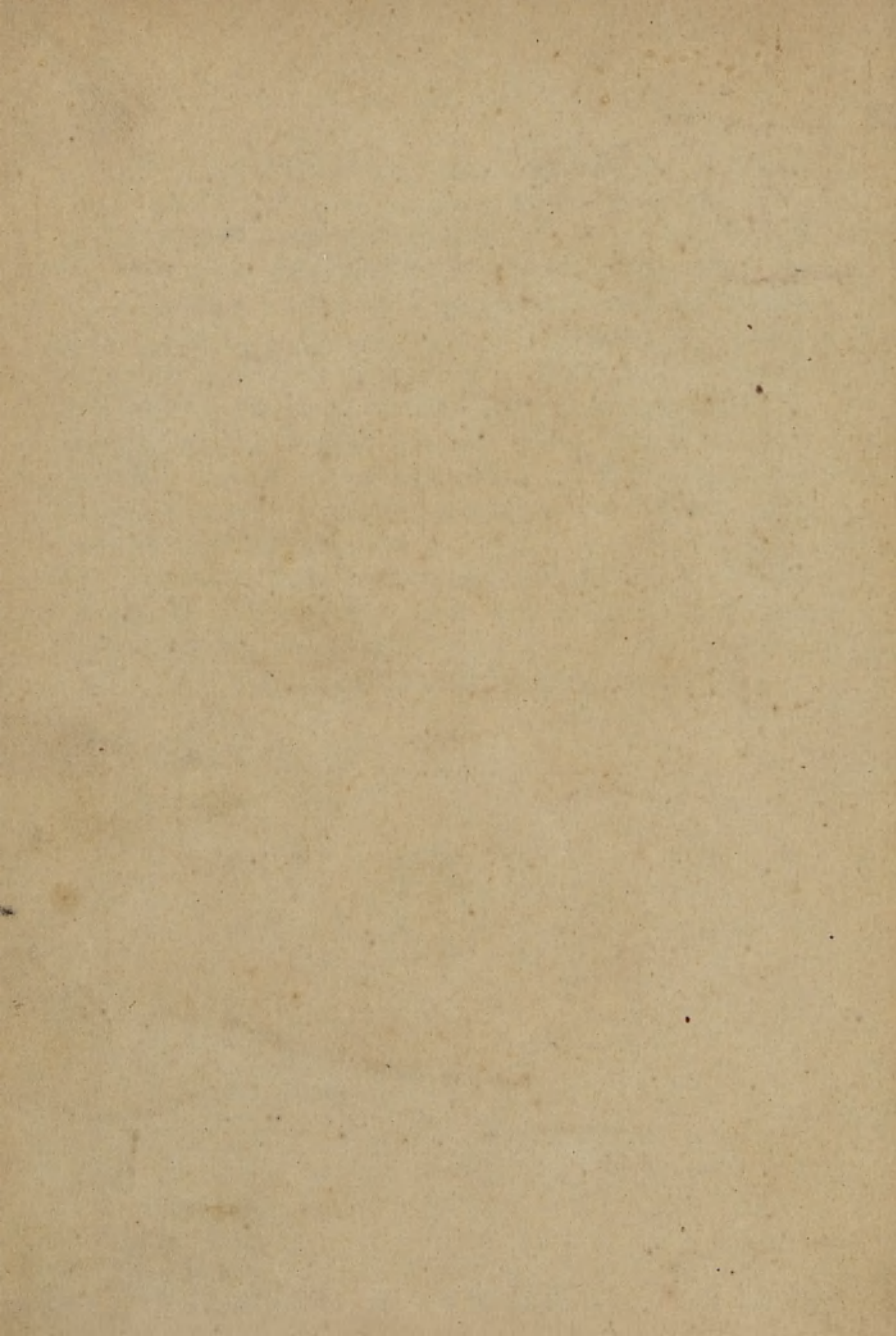
„Przebacz najdroższa kobieto, ten cios, co go zadaje sercu twojemu. Jest to ofiara, którą dla ciebie i naszego dziecka uczynić musiałem. Życie moje, przepelnione goryczą i hańbą, byłoby dla ciebie niewyczerpanem źródłem upokorzenia, a naszemu dziecku byłoby zawadą do pomyślnego losu. Wytykanoby was palcami, jako żonę i córkę człowieka, który cześć utracił! Nie mam prawa istot niewinnych, a dla mnie tak drogich, pogrążyć w mojej niedoli. Bądź szczęśliwa, droga żono, żegnam cię i jeszcze raz polecam twojej pieczy dziecię nasze. Oczekuję spokojnie przyszłości, jaka mię spotkać może.“

Był także pakiet opieczętowany dla króla. Dowiedziano się później, że w nim żadnego listu nie było, tylko insygnia orderów, które był z jego łaski otrzymał.

Taki był koniec obu braci Strawińskich.







764/9/93

28.000-

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000046894



I 768489

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000046895



I 768490